9 771898 308011 33

POLSKA

19 lat

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 10.08.2026
Nr 64 (2575)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

www.i.pl

DZIŚ W NUMERZE

- *Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu*
- *Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro*

POLITYKA • STR. 4

Coraz większy tłum liderów na prawicy

Czy ugrupowania prawicowe znajdą przywódcę, który zdoła uporządkować chaos szyldów po tej stronie sceny politycznej?

FOT. ADAM JANKOWSKI (5), PAWEŁ RELIKOWSKI

BEZPIECZEŃSTWO • STR. 3

To będzie największa defilada wojskowa w historii armii

SPOŁECZEŃSTWO • STR. 6-7

Horror w DPS-ach. Są zarzuty o przemocy wobec dzieci

KULTURA • STR. 10-11

Włosi stworzyli piękne muzeum poświęcone Igorowi Mitorajowi

eprasa.pl c83acda8be

POLECAMY

PIĄTEK: Co Polacy robią w wakacje? Remont. I płacą za to ogromnym stresem

10.08.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: Wawrzyniec, Bogdan, Bernard, Amadeusz
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Janusz Michalczyk
publicysta

„Głupiutka i wystraszona”. Dlaczego te słowa o Idze Świątek tak zabolały?

Wyskoczyła jako gwiazda, wykreowała się na rozumną, dojrzałą, mądrą dziewczynę, a najprawdopodobniej jest głupiutka, wystraszona i sama nie rozumie, co się dzieje. Tam nie siedzi tylko Abramowicz, ale też trzech, czterech panów, ojciec, siostra...” - tymi słowami psycholog Ewa Woydyłło (87-letnia miłośniczka tenisa) określiła Igę Świątek (25-letnią gwiazdę tenisa).

Wybuchła kilkudniowa medialna burza, Iga nie komentowała, a Ewa po namyśle przeprosiła. W istocie chodzi o bardzo emocjonalne reakcje naszej najlepszej tenisistki, która dominując na korcie bez racjonalnego powodu nagle traci spokój, pewność siebie i albo z trudem wygrywa, albo łatwo ulega rywalce. Komentatorzy i znawcy sportu głowią się nad tą zagadką, ale dotychczas żaden nie rozgryzł do końca problemu.

Sądzę, że w bezceremonialnej opinii psycholożki może kryć się zalążek wyjaśnienia. Iga jest „głupiutka”, ale niby w jaki sposób młoda sportsmenka, uwielbiana przez tłumy i zarazem poddana olbrzymiej presji, ma bezboleśnie osiągnąć dojrzałość, mądrość i demonstrować zawsze stoicki spokój? Jest „wystraszona”, gdyż boi się, że straci pozycję zawodniczki ze ścisłej czołówki, obawia się krytyki ze strony kibiców i utraty wypasionych kontraktów reklamowych. Nie ma dobrego i łatwego rozwiązania, jak poradzić sobie ze słabością i lękiem, będąc w centrum zainteresowania.

Idolem Igi jest Rafael Nadal, który niedawno zakończył wspaniałą karierę. W dokumentalnym filmie do obejrzenia na Netfliksie pokazano, że praktycznie od początku drogi na szczyt nie tylko przechodził katorżniczy trening, ale i zmagał się z dotkliwym bólem o podłożu genetycznym, którego nie zawsze dało się uśmierzyć. Zwyciężał, bo potrafił zaakceptować wielkie cierpienie. Stał się niejako niewolnikiem własnej ambicji, poświęcił zdrowie dla momentów oszałamiającej satysfakcji.

Sport ma ciemną stronę. Andrzej Gołota stwierdził w apogeum sławy, że nienawidzi boksu. To nie była głupota ani brak odwagi.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską”

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Liliana Sonik
publicystka

To jest Odyseja na miarę naszych możliwości

Odyseja jest filmem chaotycznym. To najsłabszy z filmów ważnych. Nie zawsze ważne dzieła są arcydziełami. Czasem znaczenia nabiera popelina. A perfekcyjnie zaplanowany koncept kończy się nieciekawym rezultatem. Bo wstępne założenia niosą konsekwencje. Zwłaszcza jeśli rzecz się rozgrywa w sferze poważnie traktowanych idei, a nie tylko nieskrępowanej logiką kreatywności.

Sądzę, że „Odyseja” Nolana jest modelowym tego przykładem. Film jest chaotyczny, bo właśnie tak został wymyślony. I były ku temu dobre powody.

Wyobrażam sobie mózgowca sir Christophera Nolana rozważającego, jak w roku 2025 opowiedzieć „Odyseję” Homera. Musiał dojść do wniosku, że niewiele już nas łączy ze światem ukazanym w eposie. Inaczej myślimy, co innego nas interesuje, inne mamy priorytety i inną wrażliwość. Można byłoby tę przemianę zbiorowej wyobraźni pominąć i zrobić spektakularną ekranizację wedle starych reguł: z linearnie rozwijanym wątkiem i zazdrosnymi bogami zabawiającymi się losami posągowych bohaterów. Powstałby hollywoodzki obraz w typie fantasy i wszyscy byliby zadowoleni. Jednak teoretyczna wierność oryginałowi wiązałaby się z wielkim oszustwem polegającym na zamianie powagi Homera w relaksacyjną bajkę.

Nolan wybrał inną drogę. Film pokazuje, co zostaje z dostojnego eposu, jeśli przetłumaczy się Homera na język dziś obowiązujący. I to na wszystkich możliwych planach. Nolan poszatkował fabułę, wyeliminował bogów, mężnych Greków zastąpił durniami, tragedię - smuteczkami, a Kalipso przefastrygował na terapeutkę Natalię, tyle że wyposażoną w odurzające dragi.

Ciekawe, że wśród tysięcy mądrych i głupich recenzji, żadna nie zwraca uwagi na napis, który pojawia się na ekranie zanim ruszy akcja. Tymczasem jeśli doświadczony reżyser rozpoczyna film od wypisanego na ekranie motta, to znaczy, że daje nam klucz do interpretacji.

Odyseję otwiera plansza z napisem: „W czasach, gdy istniała magia...”.

Istniała lecz już nie istnieje. Słowo magia można bez zmiany sensu zastąpić słowem ‘religia’. Wszak „religare” oznacza to, co łączy. Ludzkie wspólnoty tworzy i nadaje sens jednostkowemu życiu korpus wspólnych symboli, wierzeń i mitów. Tak było w czasach, o których opowiada Odyseja. Mamy jednak inne czasy. Dawne tropy i fundujące zasady unieważniono. Jeśli chcemy osadzić Homera w naszych odartych z magii czasach, musimy opowieść dostosować do dzisiejszych oczekiwań i wyuczonych reakcji. I zupełnie nie chodzi o drobne niewierności wobec tekstu, jak kolor skóry Heleny.

Po typowej dla ostatnich 60 lat dekonstrukcji z eposu został tylko fabularny szkielet, wypełniony treściami należącymi do innego - naszego - świata.... W filmie nie ma bogów, ani metafizyki, ani greckiej pobożności. Pozostały za to potwory. Czyż współczesny widz nie kocha Godzilli? Czy horrory nie sprzedają się świetnie?

Bez mitu, bez magii, z archetypami, które są tylko powidokiem - struktura opowieści się kruszy, pruje i rozpada na mikro-wątki przygodowe... Utożsamienie z tym światem jest niemożliwe. Ironia i dekonstrukcja zabiły niewinność, naiwność i bezinteresowność odbioru.

„Odyseja” Nolana nie uskrzydla duszy. Zgodnie z demokratyczną regułą nikt tu nie jest wyjątkowy. Żadnej wyjątkowości więc i żadnego uniesienia... Odys nie jest herosem, tylko duchowo wyczerpanym aktorem Matem Damonem.

Umniejszeni i zwyczajni bohaterowie wypowiadają zdania zaczerpnięte z debat konserwatywnych elit: żyjemy w czasach po piśmie; cywilizacja upada, znikają normy, reguły, prawo, obyczaj; za to pojawia się lęk przed inwazją ludów morza i chaosem.

Zamiast wielkiego traktatu o ludzkim losie dostaliśmy film przygodowy z ostrzegawczą puentą. I tyle zostało z Homera. A Nolan zdaje się mówić: zrobiłem film zgodny z waszymi poglądami - opowieść na miarę naszych możliwości.

KRÓTKO

Polityka międzynarodowa

Izrael odrzuca plan Trumpa

Izrael odrzuca plan dla Strefy Gazy, ogłoszony przez Donalda Trumpa, i nie wycofa swoich sił z tego terytorium, dopóki nie nastąpi całkowite, „prawdziwe” rozbrojenie Hamasu – oznajmił w niedzielę izraelski premier Benjamin Netanjahu. Dodał, że Izrael omawia swoje zastrzeżenia z USA. **PAP**

Polityka

Sondaż: krytyczne oceny rządu Donalda Tuska

58 proc. Polaków krytycznie ocenia dotychczasowe rządy koalicji pod kierownictwem premiera Donalda Tuska, 35,9 proc. pozytywnie, a 6,1 proc. nie ma zdania - wynika z badania United Surveys by IBRiS na zlecenie Wirtualnej Polski. **PAP**

eprasa.pl c83acda8be

BEZPIECZEŃSTWO

To będzie największa defilada w historii

10 tys. żołnierzy, 300 jednostek sprzętu lądowego i 60 statków powietrznych weźmie udział w defiladzie z okazji Święta Wojska Polskiego. Po raz pierwszy pojawią się myśliwce F-35. W Gdyni i Gdańsku odbędzie się parada morska

Jan Żelaźniak

W niedzielę na warszawskiej Wisłostradzie przeprowadzono próbę generalną przed zaplanowaną na 15 sierpnia defiladą.

Armia jest przygotowana do defilady, która odbędzie się 15 sierpnia - zapewnił szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Wiesław Kukuła. Według MON będzie to największy pokaz z okazji Święta Wojska Polskiego, m.in. z udziałem myśliwców F-35 w polskich barwach.

Na briefingu po próbie generalnej, która odbyła się w niedzielę rano na warszawskiej Wisłostradzie gen. Kukuła podkreślił, że wszystko poszło zgodnie z planami, wojsko jest przygotowane do defilady.

Obecny na konferencji wiceminister obrony narodowej Paweł Bejda oświadczył, że będzie to największa defilada z okazji Święta Wojska Polskiego w historii Polski i z największą ilością sprzętu. Wskazał, że udział w niej weźmie ponad 300 jednostek sprzętu lądowego i 60 statków powietrznych.

FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Amerykańskie czołgi M1 Abrams podczas próby generalnej przed zaplanowaną na 15 sierpnia defiladą w Warszawie

Bejda zapewnił, że w przygotowaniu defilady uczestniczy około 9 tysięcy żołnierzy, natomiast wystąpi na niej 1800 żołnierzy, w tym 103 kobiety. Według wiceministra wezmą w niej udział wszystkie rodzaje sił zbrojnych; wojska lądowe, siły powietrzne, marynarka wojenna i wojska specjalne, wojska obrony terytorialnej, inspektoraty wsparcia sił zbrojnych, żandarmeria wojskowa, akademie wojskowe, klasy mundurowe czy oddziały aktywnej rezerwy.

W defiladzie uczestniczyć będą także wojska sojusznicze m.in. z USA, Kanady, Australii, Litwy, Estonii, Szwecji i Rumunii - wymieniał wiceszef MON. Szef sztabu generalnego dodał, że najliczniejszą grupę wśród armii sojuszniczych stanowią żołnierze francuscy. - W tym roku pododdział wystawiła Legia Cudzoziemska - doprecyzował gen. Kukuła.

Bejda przypomniał, że 15 sierpnia - równolegle w Gdyni i w Gdańsku odbędzie się parada morska, w której uczestniczyć będzie ponad 20 jednostek pływających, w tym fregaty, korwety, okręty hydrograficzne czy niszczyciele min, oraz sojusznicy Polski m.in. z Estonii, Litwy czy Szwecji.

Szef sztabu generalnego podkreślił, że żołnierze dedykują defiladę „wszystkim Polakom, którzy płacą podatki i składają się na wyposażenie", które wojsko może wykorzystywać. Zaznaczył, że podczas defilady 15 sierpnia „10 tysięcy żołnierzy będzie demonstrować transformację sił zbrojnych".

Święto Wojska Polskiego, obchodzone co roku 15 sierpnia, upamiętnia Bitwę Warszawską z 1920 roku, w której polskie wojska w wyniku skutecznej kontrofensywy odepchnęły siły bolszewickie spod Warszawy. Od lat ważnym punktem obchodów pozostaje defilada, w której biorą udział tysiące żołnierzy prezentujących najnowocześniejsze uzbrojenie znajdujące się na wyposażeniu polskiej armii.

W południe w sobotę, 15 sierpnia, tak jak w ubiegłym roku, defilada wojskowa przejdzie warszawską Wisłostradą. Udział w niej wezmą żołnierze reprezentujący wszystkie rodzaje sił zbrojnych, a także wojska sojuszników. Zobaczyć będzie można nowoczesny sprzęt wojskowy, w tym wozy bojowe Borsuk i Rosomak, czołgi Abrams i K2, czy armatohaubice Krab lub systemy dronowe Gladius.

PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY FUNDACJI ZIEMIA I LUDZIE 0011346487

PRAWDZIWE HISTORIE CZYSTEGO POWIETRZA

Czyste Powietrze Jest OK

Ekologicznie może być najtaniej

Pan Michał jest uparty – tak długo szukał rozwiązań, tak długo liczył, aż znalazł najkorzystniejszą formę ogrzewania do swojego domu. Chciał czy nie chciał, wyszło, że ekologia w jego domu będzie najtańsza. Zwłaszcza że na te rozwiązania można było skorzystać z dotacji – na instalację fotowoltaiczną z gminy, a na pompę ciepła z programu Czyste Powietrze.

UWAGA, KONKURS!

Jesteś beneficjentem Czystego Powietrza? Podziel się z nami swoją prawdziwą historią i przekonaj innych do inwestycji w zdrowie i ciepło.

Wejdź na czystepowietrzejestok.pl

Co miesiąc do wygrania hulajnoga elektryczna!

– Nie tylko pieniądze były ważne. Zdecydowaliśmy z żoną o zmianie ogrzewania na ekologiczne, bo zależy nam także na tym, by nie przyczyniać się do zanieczyszczenia powietrza, którym wszyscy oddychamy – mówi pan Michał.

Salon zamienił się w kotłownię

Razem z żoną Ewą mieszkają na obrzeżach Warszawy. Gdy budowali dom, wydawało im się, że najlepiej będzie zdecydować się na kominek z płaszczem wodnym, który ogrzewa wszystkie pomieszczenia. Miało być romantycznie – trzaskający ogień w kominku i przyjemne ciepło. Idylla. Szybko jednak zorientowali się, że to najgorsza decyzja, jaką mogli podjąć.

– Nasz salon zamienił się w kotłownię. Obok kominka leżał zapas drewna. Trzeba było wygarniać popiół. Brudziło się, komin dymił. Koszmar – opowiada pani Ewa.

Kominek nie spełniał też norm emisyjnych zgodnych z lokalną ustawą antysmogową. Dlatego decyzja o wymianie źródła ciepła

szybko stała się oczywista. Małżeństwo ma ok. 10-letni dom, ocieplony standardowo, ale starannie. Nie ma tzw. mostków termicznych, przez które uciekałoby ciepło. Mostki termiczne tworzą się, gdy gdzieś zabrakło odrobiny styropianu, krzywo położono deskę, warstwa wełny mineralnej gdzieś okazała się cieńsza niż powinna. Czasem ekipa źle zamontuje okno albo drzwi. Kłopotliwe bywają wszelkie załamania czy wykusze, balkony itp., bo przez nie także ucieka ciepło. Pan Michał zamówił audyt energetyczny, który pokazał, że ocieplenie jest wystarczające. Małżeństwo wystąpiło do gminy o dotację do fotowoltaiki i na dachu domu zostały zainstalowane panele. Kolejnym ruchem było wystąpienie o dotację z ogólnopolskiego programu Czyste Powietrze. Postanowili zainwestować w pompę ciepła powietrze – woda. Pompa ma za zadanie ogrzewać dom i dawać ciepłą wodę użytkową. Sprawdza im się doskonale.

– Michał wszystko tak obliczył, że starcza nam energii też na ładowanie samochodu elektrycznego – mówi dumna z męża pani Ewa.

Na co można obecnie otrzymać dotację z Czystego Powietrza?

- Na wymianę nieefektywnego źródła ciepła na paliwo stałe (tzw. kopciucha) na nowe efektywne i ekologiczne źródło ciepła,
- modernizację lub wykonanie instalacji grzewczej i cwu,
- ocieplenie przegród budynku,
- wymianę okien i drzwi/bram garażowych,
- zakup i montaż rekuperacji, czyli wentylacji mechanicznej z odzyskiem ciepła,
- audyt energetyczny, czyli ocenę stanu energetycznego domu i wskazanie najlepszego rozwiązania do realizacji.
- W nowym programie Czyste Powietrze (od 31.03.2025 r.) obowiązuje wymóg potwierdzenia standardu energetycznego budynku – zarówno przed, jak i po przeprowadzeniu inwestycji. Przed realizacją przedsięwzięcia trzeba wykonać wspomniany audyt energetyczny wraz z dokumentem podsumowującym audyt energetyczny. Określą one, jaki jest stan energetyczny budynku i jakie prace należy wykonać, żeby zmniejszyć zapotrzebowanie na energię do ogrzewania. Po realizacji przedsięwzięcia konieczne jest świadectwo charakterystyki energetycznej (na które również można dostarczać dofinansowanie), które potwierdzi zmniejszenie zapotrzebowania na energię do ogrzewania.

Sfinansować można następujące źródła ciepła, przyłącza i instalacje:

- podłączenie do sieci ciepłowniczej wraz z przyłączem,
- pompa ciepła powietrze/woda o podwyższonej klasie efektywności energetycznej,
- pompa ciepła powietrze/powietrze,
- gruntowa pompa ciepła o podwyższonej klasie efektywności energetycznej,
- dolne źródło ciepła,
- kocioł zgazowujący drewno o podwyższonym standardzie,
- kocioł na pellet drzewny o podwyższonym standardzie,
- ogrzewanie elektryczne,
- instalacja centralnego ogrzewania oraz instalacja ciepłej wody użytkowej,
- niezbędne prace towarzyszące przy instalacji c.o. i c.w.u.
- W przypadku pomp ciepła oraz kotłów na pellet drzewny i zgazowujących drewno kawałkowe, muszą one znajdować się dodatkowo na liście Zielonych Urządzeń i Materiałów (lista ZUM) https://lista-zum.ios.edu.pl/

Termomodernizacja domu, na którą można otrzymać dotację:

- ocieplenie ścian,
- ocieplenie stropów/dachu/stropodachu,
- ocieplenie podłóg na gruncie,
- stolarka okienna i drzwiowa, bramy garażowe,
- niezbędne prace towarzyszące montażowi okien,
- wentylacja mechaniczna z odzyskiem ciepła.

Szczegóły programu: ***czystepowietrze.gov.pl***

Fundacja Ziemia i Ludzie

czyste powietrze zdrowy wybór

NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ŚRODOWISKA i GOSPODARKI WODNEJ

Niniejszy materiał został dofinansowany ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Za jego treść odpowiada wyłącznie Fundacja Ziemia i Ludzie.

eprasa.pl c83acda8be

POLITYKA

Walka o rząd dusz na prawicy ruszyła na dobre

Po wyjściu Mateusza Morawieckiego z PiS aż cztery prawicowe ugrupowania będą walczyły o swoje miejsca w przyszłym Sejmie. To walka o miano lidera po tej stronie sceny politycznej

Dorota Kowalska

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Zapowiedzi Karola Nawrockiego wygłoszone podczas jego rocznicowego wystąpienia uruchamiają nową dynamikę na prawicy. Prezydent ma patronować stworzeniu prawicowego „paktu senackiego"

Wygląda na to, że walka o rząd dusz na prawicy rozpoczęła się na dobre. Co ważne, stanęli do niej nie tylko liderzy prawicowych ugrupowań, ale i prezydent Nawrocki. W czwartek, podczas spotkania z okazji rocznicy swojego zaprzysiężenia Karol Nawrocki zapowiedział, że w ciągu kilku miesięcy zostanie zaprezentowana „prezydencka strategia rozwoju".

Wcześniej podkreślił, że nigdy nie zejdzie z drogi, na którą wszedł w czasie kampanii wyborczej.

- Będę i pozostanę waszym głosem - zwrócił się do zgromadzonych przez Pałacem Prezydenckim. Zaznaczył, że rok jego prezydentury był pracowity, ale „nie ma w nim choćby promila zmęczenia".

- Mam ciągle wiele energii na kolejne cztery lata. Mam 100 proc. baterii - zapewnił Nawrocki.

Przypomniał, że w ciągu tego roku wystąpił z 22 inicjatywami ustawodawczymi, z których - jak przypomniał - 21 leży w tak zwanej. zamrażarce sejmowej. Nawrocki podkreślił, że od 7 sierpnia 2025 roku składał średnio dwie inicjatywy ustawodawcze na miesiąc i zapewnił, że choć nie wszystkie jego postulaty zostały zrealizowane, to żadne nie zostały zapomniane. W pracy pomaga mu siedemnaście rad prezydenckich, które, jak mówił, w ciągu ostatniego roku zgromadziły „siedmiuset wybitnych, profesjonalnych, w zasadniczej części niezwiązanych z polityką przedstawicieli". To właśnie te siedemset osób pracując społecznie, bez pobierania środków finansowych, od roku przygotowuje prezydencką strategię rozwoju na najbliższe półtora roku.

- Wierzę głęboko, że prezydencka strategia rozwoju, która formalnie zostanie przedstawiona w ciągu kilku miesięcy, stanie się w najbliższych wyborach parlamentarnych punktem odniesienia dla wszystkich tych, którzy aspirują do rządzenia w RP, żeby stworzyć realny plan na przyszłość dla Rzeczpospolitej - powiedział Nawrocki. Jak dodał, strategia ma być „zaproszeniem do dialogu środowisk politycznych gotowych do współpracy z prezydentem".

Tym samym Karol Nawrocki stara się nadać ton kampanii prezydenckiej, narzucić wiodącą w niej narrację. Kreuje się na tego, który stoi ponad opozycją i koalicją rządzącą, na męża opatrzności polskiej polityki. To sprytne posunięcie zwłaszcza w kontekście trudności, jakie trawią Prawo i Sprawiedliwość. W partii Jarosława Kaczyńskiego doszło do największego w historii rozłamu. Z PiS razem z Mateuszem Morawieckim wyszło ponad czterdziestu polityków, którzy założyli własny klub parlamentarny Rozwój Plus. Pozycja samego Kaczyńskiego słabnie, co próbują wykorzystać młodsi politycy.

I tak Mateusz Morawiecki, już po opuszczeniu PiS-u, najpierw urządził słynnego grilla, na który przyszło ponad tysiąc osób, zaś w piątek pojawił się na wrocławskim osiedlu Jagodno. To właśnie tam w czasie wyborów parlamentarnych w 2023 roku do niemal godz. 3.00 nad ranem stała kolejka do lokalu wyborczego, a miejscowa pizzeria dowiozła czekającym mieszkańcom kilkaset placków. Wtedy w głosowaniu w tej komisji zdecydowanie zwyciężyła Koalicja Obywatelska, uzyskując 43,64 procent głosów.

Na piątkowym pikniku również pojawiła się pizza, którą Morawiecki przyniósł z należącą do Rozwój Plus posłanką Mirosławą Stachowiak-Różecką. Jak oświadczył były premier, Jagodno stało się „symbolem aktywności obywatelskiej".

- Musimy doprowadzić do tego samego, żeby większość Polaków głosowała na prawicę, na obóz patriotyczny. Także po to jestem tutaj na Jagodnie, które uważane jest raczej za liberalne, za lewicowe. Niektórzy mówili: „po co jedziesz do paszczy lwa". Ja się świetnie czuję w paszczy lwa, jak widać - zapewniał Morawiecki.

Zachwalał też prezydenta, którego przychylność bardzo by mu się przydała, a który stwierdził, że nie będzie się mieszał w konflikt w Prawie i Sprawiedliwości, a współpracować chce z każdą ze stron. Jak ocenił Morawiecki, Karol Nawrocki potrafił przemawiać do osób spoza elektoratu PiS i jest to również zadanie dla stowarzyszenia Rozwój Plus.

- Będziemy nowym obozem politycznym, żeby poszerzyć ofertę całej prawicy tak, jak zrobił to Karol Nawrocki i dzięki temu miał powyżej 50 procent - przekonywał Morawiecki. - Kto wie, może właśnie jakiś palec boży w tym był i przez to wypchnięcie będziemy w stanie - my ze stowarzyszenia Rozwój Plus - docierać szerzej do różnych grup ludzi, różnych środowisk, po to, żeby pokonać i pogonić ten rząd patałachów, cyników i Kacprzyków. Do tego potrzebne jest szerokie otwarcie - dodał.

Na ruch Morawieckiego odpowiedziało Prawo i Sprawiedliwość swoją konwencją, którą zorganizowało w Warszawie.

- Mamy własne plany. To, co robi pan Morawiecki w tej chwili, nas nie interesuje – miał powiedzieć Kaczyński dopytywany, czy PiS ściga się z Rozwojem Plus.

Podczas konferencji Jarosław Kaczyński mówił o celach partii na wybory.

- Musimy dążyć do stworzenia rządu, który będzie miał na celu naszą wolność i godność, naszą siłę i to wszystko, co z tą siłą się wiąże - powiedział.

Dodał, że ma na myśli siłę militarną, silne państwo oraz możliwie zintegrowane społeczeństwo. - Zbliża się sezon na niepodległość. Sezon jednak można wykorzystać, można go nie wykorzystywać. My musimy go wykorzystać - podkreślił.

Według Kaczyńskiego, kluczowy do tego jest „dobry program". - My możemy mieć tylko coś takiego, co jest bronią przemawiającą do ludzkich umysłów i do ludzkich serc. Tylko wtedy będziemy mogli zwyciężyć. I będziemy, proszę państwa, mieli taki program - zadeklarował.

Przemysław Czarnek w trakcie konwencji apelował o „zjednoczenie wszystkich środowisk patriotycznych", ocenił też, że prezydent powinien mieć większą władzę. Jak widać PiS również walczy o przychylność Karola Nawrockiego.

Temu wyścigowi Morawieckiego i jego ludzi z partią Jarosława Kaczyńskiego ze spokojem przygląda się Konfederacja.

W ostatnim sondażu Opinia24 największe poparcie uzyskała Koalicja Obywatelska (30,3 procent). Na drugim miejscu było Prawo i Sprawiedliwość (17,2 procent) - a tuż za nim: Konfederacja (15,3 procent). Tak więc poparcie dla PiS mocno spadło, dla Konfederacji - wrosło, w porównaniu do poprzedniego badania.

- Mam nadzieję, że to dzięki naszej ciężkiej pracy i konsekwencji w tym, co mówimy, i w tym, co robimy - oświadczył w „Faktach po Faktach" w TVN24 jeden z liderów Konfederacji i wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak.

Bosak odniósł się również do tego, że Morawiecki coraz bardziej dystansuje się od PiS-u, a nawet swojego rządu.

- Za chwilę trudno będzie wskazać rzecz, w której on się zgadza ze swoim rządem. Moim zdaniem nie ma chyba w tej chwili mniej wiarygodnego człowieka na polskiej scenie politycznej niż były premier – ocenił.

Dostało się też Prawu i Sprawiedliwości. Bosak za „absolutny populizm" uznał propozycję PiS-u, aby deportować z Polski Ukraińców w wieku poborowym, którzy nie pracują, bo taki pomysł pojawił się na konwencji PiS-u.

Lider Konfederacji, i tu znowu pojawia się osoba prezydenta, nie wykluczył zbudowania paktu senackiego partii prawicowych przy współudziale Karola Nawrockiego. Omawiał to z prezydentem w zeszłym roku drugi lider Konfederacji - Sławomir Mentzen.

- Ja również z prezydentem o tym rozmawiałem - zdradził gość programu.

Wygląda na to, że rywalizacja na prawicy staje się coraz bardziej zacięta i prezydent odgrywa w niej znaczącą rolę. Ale też po wyjściu Morawieckiego z Prawa i Sprawiedliwości, aż cztery prawicowe ugrupowania będą walczyły o miejsca w przyszłym Sejmie. To nie tylko walka o wyborcę, ale także o rząd dusz po tej stronie sceny politycznej.

Jak wynika z najnowszym sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski 20,4 proc. badanych uważa, że to Karol Nawrocki jest obecnie faktycznym liderem obozu polskiej prawicy. Na prezydenta wskazało więcej osób niż na Jarosława Kaczyńskiego, który zdobył 19,8 proc. głosów. Największy odsetek Polaków uważa jednak, że polska prawica nie ma dziś jednoznacznego przywódcy.

I to głównie o nich trzeba zabiegać, ale nie tylko. Widać wyraźnie, że Jarosław Kaczyński nie jest już tak silny jak kiedyś. To moment, który postanowili wykorzystać inni prawicowi politycy, z prezydentem Karolem Nawrockim na czele. **PAP**

eprasa.pl c83acda8be

KULTURA I MEDIA

Były prezes TVP dyrektorem teatru

Mateusz Matyszkowicz, były prezes TVP, już w poniedziałek zajmie biurko dyrektora Teatru im. J. Osterwy w Lublinie. Będzie stał na czele tej zasłużonej instytucji przynajmniej przez cztery lata

Joanna Jastrzębska

O Mateuszu Matyszkowiczu słyszeliśmy, kiedy we wrześniu 2022 r. został prezesem TVP, zastępując na tym stanowisku Jacka Kurskiego. Wcześniej był dyrektorem TVP Kultura i redaktorem naczelnym „Teologii Politycznej" i „Frondy Lux". Z wykształcenia jest filozofem, studiował również teologię. Dyrektorem Teatru Osterwy będzie od poniedziałku 10 sierpnia do końca sierpnia w 2030 r.

– Jestem pełen nadziei i optymizmu. Od dawna obserwowałem Teatr Osterwy i byłem pod wrażeniem wielu spektakli. Dwa z nich były przenoszone do Teatru Telewizji w czasie, kiedy w TVP nadzorowałem teatr, więc mam jak najlepszą opinię. Uważam, że pozycja Teatru Osterwy jest bardzo wysoka, ma świetny zespół aktorski i pokazał, że potrafi tworzyć spektakle, o których się mówi – uważa Matyszkowicz.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Mateusz Matyszkowicz przez ponad rok kierował TVP. Teraz stanie na czele Teatru Osterwy w Lublinie. Jego nominacja to zaskoczenie

Przed nowym dyrektorem stoi kilka nowych wyzwań. Największym i najdroższym będzie wielka przebudowa zabytkowego budynku, która mocno odwleka się w czasie, oraz zadbanie o jego bardzo kiepską kondycję.

– Dopiero obejmuję tę funkcję i nie chcę się kierować tym, co dotychczas czytałem, bo myślę, że uczciwe i rzetelne podejście do sprawy zakłada zapoznanie się z dokumentami. Ale zdaję sobie sprawę, że teatr wymaga pilnej interwencji, jeśli chodzi o stan budynku, i tym należy zająć się w pierwszej kolejności - mówi nam Matyszkowicz.

Zmiany nie są niespodzianką, choć wszyscy spodziewali się ich raczej pod koniec sierpnia. Nie inaczej było w samym teatrze – p. o. dyrektor Krzysztof Adamczuk po powrocie z urlopu planował pożegnalną i podsumowującą konferencję prasową. Z wypoczynku wraca w poniedziałek, ale nie wie dokąd.

– Nie otrzymałem jeszcze warunków i żadnych konkretnych propozycji. Dopiero jak je uzyskam, będę mógł zadecydować. Chciałbym dalej pracować, czuję się przygotowany, żeby móc kontynuować prace inwestycyjne – mówi w rozmowie z nami.

Nie daje się namówić, żeby oszacować, kiedy ponownie będzie mogła ruszyć machina przygotowań do przebudowy, bo jest wiele zmiennych, ale zdradza, że udało się zawrzeć ugodę z pracownią AMC Chołdzyński, który był odpowiedzialny za przygotowanie projektu. Na jej mocy prawa autorskie i zależne przeszły na teatr, a architekt we wrześniu ma dokończyć swoją część pracy. Niebawem mają zostać przeprowadzone prace zabezpieczające wymagający remontu budynek.

– Zarządzanie teatrem to był dla mnie bardzo wyjątkowy czas. Bardzo dużo pracy – nie tylko inwestycyjnej, ale też stricte związane z prowadzeniem instytucji kultury. Myślę, że najlepiej mówią liczby: w ostatnim sezonie sześć premier, frekwencja średnio na poziomie 89 proc., kilka współprac ze sponsorami i regulaminów, które ułatwiły mi wygodnie prowadzenie teatru, a pracownikom komfortową pracę. Nie chciałbym sam o sobie mówić, ale dochodzą mnie słychy, że wszystkim pracowało się komfortowo i ze spokojem – wylicza Krzysztof Adamczuk.

Podkreśla również, że praca teatru została zabezpieczona na kilka miesięcy do przodu – plany repertuarowe są rozpisane do stycznia.

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN 0011563986

Program „ORLEN. Energia Sąsiedztwa" rozstrzygnięty. 2 mln zł na rozwój lokalnych społeczności

Poznaliśmy wyniki drugiej edycji programu „ORLEN. Energia Sąsiedztwa" realizowanego przez ORLEN i Fundację ORLEN. Dofinansowanie otrzyma 71 inicjatyw przygotowanych przez organizacje społeczne, samorządy i instytucje lokalne. Łączny budżet programu wynosi 2 mln zł.

71 projektów z dofinansowaniem

Druga edycja programu spotkała się z dużym zainteresowaniem. Do Fundacji ORLEN wpłynęło **205 wniosków**. Po ocenie zgłoszeń **wybrano 71 projektów**, które otrzymają wsparcie. Maksymalna wartość pojedynczego grantu to **30 tys. zł**.

Jakie projekty otrzymały finansowanie?

Wśród zwycięskich projektów znalazły się m.in. szkolenia z pierwszej pomocy z wykorzystaniem technologii VR, społeczne ogrody deszczowe, programy wsparcia rodzin i seniorów, działania na rzecz zdrowia psychicznego oraz inicjatywy rozwijające kompetencje cyfrowe młodzieży. Wsparcie otrzymały także projekty integrujące mieszkańców poprzez sport, kulturę i aktywności międzypokoleniowe. Wśród nich są m.in. działania uczące rozpoznawania dezinformacji, projekty wspierające osoby z niepełnosprawnościami, inicjatywy rozwijające lokalną odporność na sytuacje kryzysowe czy przedsięwzięcia zachęcające mieszkańców do wspólnego dbania o przestrzeń i środowisko naturalne.

Dla kogo jest program?

„ORLEN. Energia Sąsiedztwa" to program grantowy skierowany do społeczności żyjących w sąsiedztwie infrastruktury ORLEN. Jego ideą jest wspieranie lokalnych inicjatyw, które odpowiadają na ważne potrzeby mieszkańców, rozwijają ich współpracę i pomagają budować silne, aktywne społeczności.

O dofinansowanie mogły ubiegać się m.in.:

- organizacje pozarządowe,
- jednostki samorządu terytorialnego, które chcą realizować projekty na rzecz społeczności żyjących wokół wybranych aktywów ORLENU.

„Program „ORLEN. Energia Sąsiedztwa" powstał po to, aby wspierać inicjatywy, które powstają blisko ludzi i odpowiadają na prawdziwe potrzeby lokalnych społeczności. Cieszy nas zainteresowanie 2. edycją programu oraz różnorodność zgłoszonych projektów. Dzięki przyznanym grantom mieszkańcy zyskają przestrzeń do wspólnego działania, rozwoju kompetencji i budowania silniejszych więzi społecznych. To dla nas bardzo ważne, szczególnie w miejscach, gdzie prowadzimy naszą działalność – mówi **Anita Cieślicka-Szczepaniak, Rzeczniczka ds. społeczności lokalnych w ORLENIE.**

Program wspiera projekty z obszarów takich jak edukacja, ochrona środowiska, zrównoważony rozwój oraz aktywizacja społeczna.

Miliony na działania społeczne

W 2025 roku Fundacja ORLEN przyznała granty 42 inicjatywom, przeznaczając na ich realizację blisko 1 mln zł. Druga edycja programu „ORLEN. Energia Sąsiedztwa" to kolejny krok we wspieraniu pomysłów tworzonych przez mieszkańców i lokalne organizacje. Zwiększenie budżetu do 2 mln zł pozwoli zrealizować jeszcze więcej inicjatyw niż podczas pilotażowej edycji.

Tegoroczne projekty będą realizowane od 15 sierpnia 2026 roku do 31 marca 2027 roku.

eprasa.pl c83acda8be

POMOC SPOŁECZNA I PRAWO

Proces, skargi i oskarżenia w bydgoskich DPS-ach

Śledztwa umarzane i wznawiane, zwolnienia i odejścia. Oskarżenia odnośnie rozliczenia publicznych pieniędzy (a nawet egzorcyzmów) i sprawa karna dyrektorki. Pracownicy mówią o szykanach, a dyrektorka o walce z przemocą wobec dzieci

Maciej Czerniak

W czerwcu z pracą w Zespole Domów Pomocy Społecznej i Ośrodków Wsparcia w Bydgoszczy pożegnał się pracownik, który wcześniej wysłał do urzędu miasta prośbę o interwencję. Wskazywał na styl zarządzania zespołem przez obecną dyrektor. Pisał o szykanowaniu i zastraszaniu.

FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEWICZ

Sprawa karna i postępowania w sądzie pracy obrazują, co dzieje się za murami bydgoskich domów pomocy

Prosto do grafologa

Według tegoż pracownika w jednostce panuje „destabilizacja", są rezygnacje z pracy. Odeszły dwie zastępczynie dyrektora, kierownik DPS-u „Promień Życia" przy ul. Mińskiej, zwolniono kierowniczkę z „Jesieni Życia" przy ul. Łomżyńskiej.

Z bydgoskiego ratusza pismo trafiło prosto do dyrektorki.

– Zostałem oskarżony o sfałszowanie podpisu – broni się pracownik. – Bałem się konsekwencji w związku z listem. Jak widać, nie bez powodu.

Podpisując potwierdzenie złożenia dokumentu, użył fikcyjnego nazwiska. Emilia Nikodem-Boczek, dyrektorka DPS-ów, zatrudniła... grafologa. Biegły porównał podpis z inną próbką i stwierdził, że to sygnatury jednej osoby.

– Dane w tej sprawie zostały pozyskane legalnie, zgodnie z umową oraz przepisami RODO, przy zachowaniu zasady minimalizacji danych – zaznacza dyrektorka.

Jak ustaliliśmy, grafologowi zapłacono z konta ZDPSiOW. Dlaczego? Zdaniem Nikodem-Boczek pracownik zawiadamiający urząd o sytuacji działał na szkodę... swojego miejsca pracy.

– Wszelkie działania związane z wykonaniem usługi i opłaceniem grafologa podjęte zostały w granicach prawa i w celu wyjaśnienia skargi we właściwy sposób. Działania pracownika, który zawiadomił urząd pod fałszywym imieniem i nazwiskiem oraz adresem, zostały zinterpretowane jako uderzające w dobre imię Urzędu Miasta Bydgoszczy i ZDPSiOW. To czyn, a nie względy finansowe stanowią sedno sprawy – mówi Emilia Nikodem-Boczek.

Co na to urząd miasta? W jaki sposób są chronieni autorzy pism sygnalnych i skarg? Czekamy na odpowiedź.

„Nie płacę pani, k..., za chodzenie po korytarzu"

Zwolniony pracownik już zwrócił się do sądu pracy. Trwa też inne postępowanie, w którym oskarżona jest obecna dyrektor i jej była zastępczyni. Proces w IV Wydziale Karnym Sądu Rejonowego w Bydgoszczy dotyczy „złośliwego" i „uporczywego naruszania praw pracowniczych". Zagrożenie to 3 lata więzienia.

W akcie oskarżenia wyliczono 8 osób, które miały doznać szykan, m.in. w postaci „częstego i uporczywego krzyczenia", „krytykowania" i „pomniejszania kompetencji zawodowych" oraz ośmieszania.

Zanim postępowanie trafiło do sądu, prokuratura kilka razy je umarzała. W końcu na wokandę trafiło pod koniec 2025 roku.

– Mówiła: „Nie płacę pani, k..., za chodzenie po korytarzu" – zeznawała w sądzie była pracownica ZDPSiOW w Bydgoszczy. Twierdzi, że takie słowa padły z ust obecnej dyrektor. Przepracowała 3 miesiące w 2023 r. Była kierownikiem Sekcji Terapii w DPS „Słoneczko" i, jak zaznacza, „od pierwszych dni" spotykała się z „nieprzychylnością". – Krzyczała na mnie, uderzała pięścią w stół, mówiła, że my nic nie mamy do powiedzenia – zeznawała. - Odsuwała mnie od zadań, nie informowała o tym.

Wiosną 2023 r. w „Słoneczku" organizowano imprezę dla podopiecznych – dzieci z niepełnosprawnościami. Jak zaznacza radca prawny Jan Poczwardowski, reprezentujący pracownicę, po przygotowaniu przez jego klientkę zabawy z pokazem wojskowym, zawodami strzeleckimi i słodyczami dyrektor miała nazwać ją „nieudacznikiem", który nie potrafi nawet zorganizować Dnia Dziecka. Kiedy później pracownica znalazła ofertę szkoleń dla 10 osób z kadry DPS, dyrektorka nie chciała wysłać tam wszystkich chętnych. Świadek zeznawała: „Pani Emilia krzyczała, że nie rozumie, czemu podważam jej kompetencje. Mówiła, że »jak uzna za stosowne«, to nas wyśle i że nie mam udowadniać, jaka jestem wspaniała, tylko zabrać się za robotę".

Do sądu pracy

Emilia Nikodem-Boczek: Kategorycznie zaprzeczam cytowanemu oszczerstwu. Nie zamierzam odnosić się do przytoczonych słów, żaden z przesłuchanych świadków nie potwierdził tej wersji wydarzeń, publiczne rozpowszechnianie nieprawdy jest głęboko krzywdzące i uwłaczające godności. Nie używam wulgaryzmów prywatnie, a tym bardziej w pracy.

Pracownica twierdzi natomiast, że usłyszała od dyrektorki, iż „nic nie ogarnia". Wtedy – jak wynika z zeznań w aktach sprawy - podeszła do pani dyrektor i zaproponowała, że jeśli jest takim złym pracownikiem, to ma ją zwolnić. Pół godziny później wręczono jej rozwiązanie umowy.

Sprawa trafiła do sądu pracy, ale rację przyznano dyrektorce. Natomiast w innym postępowaniu, też w Wydziale Pracy bydgoskiego Sądu Rejonowego, uznano roszczenia następnej zwolnionej pracownicy. Tym razem chodziło o pracownika socjalnego, który z zespołem domów pomocy w Bydgoszczy był związany przez 26 lat. Jak twierdzi, atmosfera w „Słoneczku" zaczęła się psuć po odejściu wspomnianej szefowej Sekcji Terapii. Pogorszyło się, kiedy w DPS-ie kontrolę przeprowadził urząd wojewódzki.

Analizowano zakupy pieluchomajtek dla podopiecznych. Ustalono, że 24 mieszkańców domu używało pieluch. Dodatkowe środki chłonne kupowano za pełną cenę, mimo iż mogły być refundowane. Za te „nadmiarowe" potrącano z kont podopiecznych, choć nie musiano.

Kierownikiem „Słoneczka" była wtedy inna pracownica, która też występuje obecnie w sprawie karnej jako oskarżycielka posiłkowa. Jej podwładna dokonywała zamówień zgodnie z wytycznymi szefowej. W październiku tego samego roku miała być przeniesiona do innej jednostki – DPS „Jesieni Życia".

Jak twierdzi, powodem było znalezienie na jej biurku wydruku raportu z kontroli z K-PUW. – Zostałam poproszona do gabinetu pani Boczek, gdzie była pani S. [wicedyrektor, współoskarżona w trwającym procesie –przyp. red.] i pani kadrowa. Odczytano mi, że znaleziono u mnie protokół pokontrolny. Odebrałam to jako żart.

Tłumaczyła, że materiał pobrała z internetu. Potem zarzucono jej, że nie nie odbiera telefonu służbowego. Wyjaśniała, że akurat była w szpitalu z dzieckiem, którego jest opiekunem prawnym. Czekała na przyjęcie pacjenta na oddział psychiatryczny, dziecko było nadpobudliwe.

Forma „pożądana i stosowna"

11 października 2023 r. dyrektor zdecydowała o przeniesieniu opiekunki do „Jesieni Życia". Miała zająć się seniorami. Tego samego dnia delegowana wysłała SMS-y do rodzin swoich podopiecznych w „Słoneczku", że prawdopodobnie nie będzie z nią kontaktu, bo jest przenoszona.

– Wręczyły wypowiedzenie po wysłaniu SMS-ów do rodziców – mówi pracownica.

Zwolnienie dyscyplinarne. Powód: „Ciężkie, zawinione naruszenie podstawowych obowiązków pracowniczych, które skutkuje utratą zaufania". Dalej w tym samym piśmie dyrektor zaznaczyła, że pracownicy nie polecono „przekazywać informacji", a jej czyn wywołał „konsternację i obawy u rodziców".

Sędzia Sądu Rejonowego Piotr Pawlak, rozpatrując pozew zwolnionej, przyznał rację pracownicy. Z uzasadnienia wyroku: „Taka forma pożegnania i podziękowań" dla rodziców dzieci ze „Słoneczka" „nie tylko nie była zabroniona, ale wręcz pożądana i stosowna".

DPS wypłacił 17,5 tys. zł odszkodowania. Kobieta znalazła pracę w urzędzie wojewódzkim. Występowała też jako jeden z oskarżycieli w sprawie karnej dyrektorki, ale odstąpiła od oskarżenia.

Emilia Nikodem-Boczek twierdzi, że to ona sama jest ofiarą szykan i mobbingu ze strony pracowników. Wraca do 2022 roku, kiedy zaczynała pracę jako dyrektor. – Objęłam stanowisko, kiedy duża część zespołu była w sporze zbiorowym z poprzednią dyrekcją. Chodziło o wynagrodzenia, warunki pracy, sprzęt pomocniczy. Zadziwiające, że środki finansowe i zapasy magazynowe były adekwat-ne do potrzeb. Natomiast bierność pracowników przekładała się na zaniedbania – mówi.

Pani dyrektor pokazuje zdjęcia pokojów z odrapanymi ścianami, poplamionymi dywanami. – To było po prostu straszne. Z jednego pokoju wyszłam z płaczem. Za posłanie służył dziecku rzucony na podłogę materac cienki jak koc, a w kątach leżały fekalia. Gdy poprosiłam kierownik DPS-u, by wyjaśniła, dlaczego podopieczny przebywa w takich warunkach, powiedziała: „Bo dziecko jest agresywne" – mówi Nikodem-Boczek. – Standard w domu pomocy społecznej reguluje rozporządzenie MRPiPS, a nie zachowanie mieszkańca. Podstawowym obowiązkiem kierownika jednostki ZDPSiOW jest zapewnienie podstawowych potrzeb bytowych mieszkańca.

eprasa.pl c83acda8be

Wielu mieszkańców, jak wspomina, nie miało pościeli. – Potwierdzeniem tej bierności pracowników było dopuszczenie do sytuacji, w której niepełnosprawni fizycznie mieszkańcy zostali pozbawieni windy – mówi pani dyrektor. – Wdrożone działania naprawcze ze wsparciem Urzędu Miasta Bydgoszczy pozwoliły na rozwiązanie tego problemu przez zakup i montaż nowych wind. Działań naprawczych wymagał też stan sanitarno-epidemiologiczny, przede wszystkim pokoi mieszkalnych. Zamiast wsparcia w procesie uporządkowania placówki słyszałam komentarze o „czepianiu się", „wymyślaniu".

- Najgorsze jednak było to, że panowała tu ogromna przemoc – dodaje dyrektor.

O nieprawidłowościach traktuje pismo pokontrolne inspektorów Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy. Część ustaleń dotyczyła „afery pieluchowej", ale badano też incydent, do którego doszło w marcu 2023 roku.

„W trakcie wydawania posiłków (...) małoletni (...) podczas jedzenia kilkukrotnie wstawał z krzesła. Pełniąca dyżur opiekunka (nazwisko B.) każdorazowo sadzała chłopca na krzesło" – czytamy w protokole. I dalej: „ Zdenerwowany sytuacją chłopiec ze złości rzucił o podłogę kubkiem, w którym był kompot". Opiekunka, „stojąc za plecami chłopca, chwyciła go i wytarła jego ciałem kompot".

Informacja o zajściu dotarła do dyrektorki niecały miesiąc później, 18 kwietnia 2023 r. Opiekunka, która wytarła dzieckiem podłogę, została zwolniona dyscyplinarnie.

Kto chciał egzorcysty w „Słoneczku"?

Dyrektorka wspomina, że we wrześniu 2023 r. przyszła do niej zastępca dyrektora z informacją, że na Zespole Terapeutyczno-Opiekuńczym opiekunowie prosili o zatrudnienie egzorcysty w związku z zachowaniem kilkuletniego dziecka.

– Słysząc to, proszę o dokumentację medyczną tego chłopca – kontynuuje Nikodem-Boczek. – Okazuje się, że nie można znaleźć tej dokumentacji. Proszę też o dostęp do nagrań z monitoringu. Z tego zapisu wynika, że dziecko było 50 minut męczone.

Uzyskaliśmy dostęp do nagrania. Widać uchylone drzwi do pokoju. Mały podopieczny

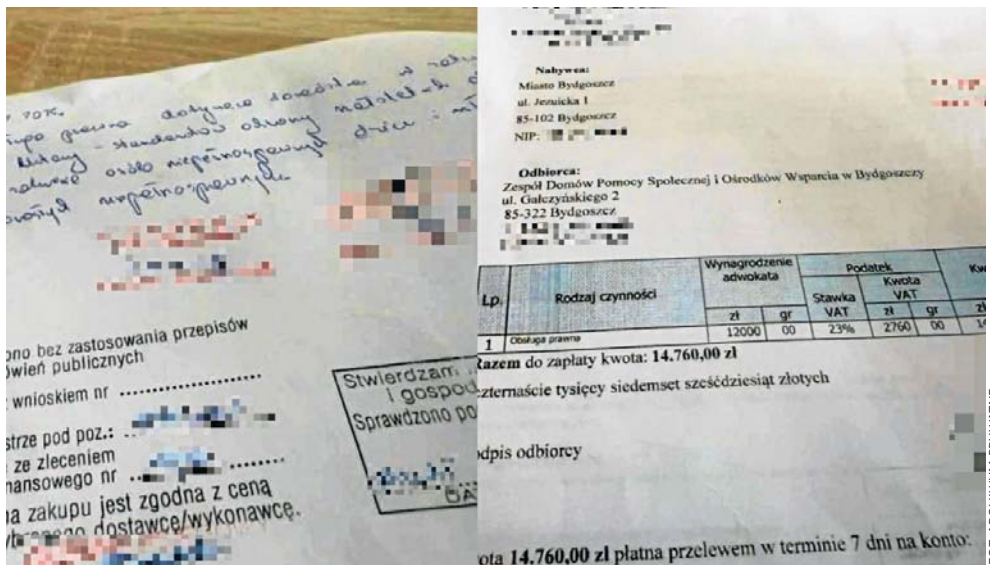

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

W sprawie tej faktury za pomoc prawną trwa kontrola bydgoskiego urzędu miasta

wygląda przez nie, próbuje wyjść. Do pokoju wchodzi jedna, potem druga opiekunka. Na korytarzu pojawia się inny maluch. Przygląda się. Panie wychodzą. Przychodzi starszy chłopiec pilnować „niegrzecznego". Opiekunka wraca. Przez uchylone drzwi dostrzec można szamotaninę. Chłopiec na widok opiekunki kładzie się na podłodze w obronnym geście.

– W moim odczuciu dziecko chce udać się do kuchenki terapeutycznej i skorzystać z jedzenia lub picia – twierdzi dyrektor. – To jest dom, dzieci mają prawo przemieszczania się wszędzie. Mają zagwarantowany dostęp do jedzenia przez cały czas, na życzenie. Natomiast, jak się później okazało, panujący system kar i przywilejów ograniczał dostęp do podstawowych rzeczy i zaspokojenia potrzeb. Po rozpoznaniu sytuacji wydałam kategoryczny zakaz stosowania takich metod.

Fakt, że powstał pomysł wypędzenia „sił nieczystych" z dziecka, znajduje potwierdzenie w zeznaniach świadka, w tamtym czasie kierownika DPS „Słoneczka": „Mieszkaniec był bardzo pobudzony. Był postulat, żeby ściągnąć egzorcystę, bo jego zachowanie jest nienaturalne".

Nikodem-Boczek wspomina rozmowę z inną pracownicą: „Ty wiesz, mówiła, że X. [tu pada imię mężczyzny], jak idzie korytarzem, to mu tak – pokazuje – włosy stoją?", Pytam, co ty mówisz? Mówi – przyciszonym głosem – że „chłopiec jest opętany".

– Ten chłopiec – dodaje pani dyrektor – był chwytany za kark, szarpany, przeciągany. Inne dzieci też. Były przypadki wkładania głowy pod zimny prysznic.

Powołano komisję ds. przemocy. Z protokołu: „Osobą, która stosowała przemoc, była (...). Zawsze, gdy miałam z nią dyżur, każda sytuacja kończyła się krzykiem". Opis zdarzenia z jedną z dziewczynek: „Miała nauczanie indywidualne. Nauczycielka zwróciła uwagę, że (...) ma mokre włosy. Pani (...) się wtedy zmieszała". O chłopcu z kolei: „Chciałam wejść do łazienki, ale bałam się tego, co zobaczę. Zobaczyłam, jak on klęczy, a ona mu leje zimną wodę po głowie".

Kto zapłacił kancelarii adwokackiej?

W związku z sytuacją dotyczącą „opętanego" zwolniona została jedna z opiekunek. Trzy inne po kontroli same odeszły.

Według pani dyrektor w DPS-ie działała grupa, która zastraszała inne pracownice, świeżo przyjęte do pracy. Ta grupa – w jej opinii – miała stać za doprowadzeniem do sądu sprawy, w której obecnie toczy się proces.

Nikodem-Boczek zapewnia, że zgłaszała organom ścigania sprawy stosowania przemocy wobec dzieci przez 7 pracowników oraz niekorzystnego rozporządzania mieniem podopiecznych DPS „Słoneczko" przez 3 osoby. Postępowania zostały podjęte przez bydgoską prokuraturę rejonową. Z jakim skutkiem? Dyrektor twierdzi, że nastąpiło umorzenie w sytuacji stosowania przemocy i złożyła stosowne zażalenie. W pozostałych sytuacjach nie ma informacji zwrotnej.

Jesteśmy w trakcie sprawdzania tych informacji. Póki co z naszych nieoficjalnych ustaleń wynika, że śledczy prokuratury Bydgoszcz-Południe umorzyli jedną sprawę przemocy zarejestrowaną w listopadzie 2023 r.

Pracownicy przywołują inne zdarzenia. W zeznaniach jednego ze świadków można przeczytać o odczuciach z rozmów z opiekunką, którą przeniesiono z jednego DPS-u do drugiego: „Była w złym stanie psychicznym. Jak pierwszego dnia przyszła do pracy, mówiła, że się boi, że mnie spotka coś złego, bo ona u mnie pracuje. Często płakała". Mowa o pracownicy, która twierdzi, że od 2 lat leczy się psychiatrycznie.

O dyrektorce: „Manipuluje i zastrasza nas. (...) Mówiła, że będzie weryfikować zasadność zwolnień lekarskich, powiedziała też: »Jak chcecie pisać anonimy, to pamiętajcie, że mam znajomości«" – czytamy w protokole z rozprawy sądowej.

Te zeznania zostały złożone w sądzie 28 kwietnia tego roku. 18 maja świadek, pracownica DPS „Jesieni Życia", dostała wypowiedzenie umowy o pracę ze skutkiem natychmiastowym. Powód: Utrata zaufania.

Zwolniona przekonuje, że wyrzucenie jej to „działania odwetowe" za zeznania. Opowiada o skardze, którą rzekomo napisano na nią na krótko przed rozprawą. – Sprawa była celowo przedłużana, bo kilka dni przed rozprawą, w której byłam świadkiem, okazało się, że termin został przeniesiony na 28 kwietnia.

Pani dyrektor: Decyzja o rozwiązaniu umowy o pracę nie miała związku z jej zeznaniami podczas rozprawy sądowej. Łączenie tych dwóch faktów jest bezpodstawną nadinterpretacją. Decyzje personalne oraz ocena pracy na stanowiskach kierowniczych w naszej jednostce opierają się wyłącznie na merytorycznych i obiektywnych przesłankach.

Dyrektorka wylicza kryteria, które obowiązują kierownika DPS „Jesień Życia". To profesjonalizm, rzetelność i nadzór. – Działania i narracja budowana wokół tej sprawy przez panią (...) wynikają – w mojej ocenie – z jej osobistych aspiracji i chęci objęcia stanowiska dyrektora – twierdzi.

Po tym zwolnieniu wypowiedzenia złożyły jeszcze kierownik DPS „Promień Życia" oraz dwie zastępczynie dyrektora. Jedna z nich, Katarzyna S., to też oskarżona w sprawie karnej. Dlaczego zdecydowała się na ten ruch?

– Muszę skonsultować z prawnikiem, czy mogę o tym mówić – rozważa pytana była zastępczyni dyrektora. – Jest wiele rzeczy, które mogłabym opowiedzieć. Wypowiedzenia nie składa się tak po prostu. Nie jest to już miejsce pracy dla mnie bezpieczne ani komfortowe.

W Zespole DPS trwają właśnie kontrole Państwowej Inspekcji Pracy. – Nie ma jeszcze wniosków pokontrolnych – mówi Magdalena Araszkiewicz, zastępująca rzeczniczkę PIP w Bydgoszczy.

Inną sprawą jest kwestia finansowania pomocy prawnej dla dyrektorki. Dotarliśmy do faktury opiewającej na 14,7 tys. zł wystawionej DPS-om przez kancelarię adwokacką. Na odwrocie jest ręczna adnotacja: „Obsługa prawna doradztwa w zakresie stosowania Ustawy – standardów ochrony małoletnich (...)".

Emilia Nikodem-Boczek pytana, czy zapłaciła za adwokata z funduszy ZDPSiOW: Nie uważam, żeby to była moja sprawa prywatna, ale sfinansowałam wszystkie rzeczy ze swoich prywatnych środków. W kwietniu pani mecenas wystawiła fakturę, właśnie początkowo na zespół, i w kwietniu ja uregulowałam, wpłacając na konto dochodowe zespołu. Poniosłam koszty w wysokości 27 tys. zł. Jako że stanęłam w obronie tych krzywdzonych dzieci, to tak naprawdę okradłam swoją rodzinę i konsekwencje tego ponoszą teraz moje dzieci. Mimo tego, że poniosłam koszty finansowe, moralne i zdrowotne, to placówki zmieniają się: trwają remonty korytarzy, pokoje odzyskują blask, a standard życia mieszkańców realnie rośnie, co jest dla mnie najważniejszą odpowiedzią na wszelkie próby dyskredytowania mojej pracy – dodaje.

Jedna z byłych pracownic DPS-ów, która zajmowała ważne stanowisko, twierdzi, że taki mechanizm nie jest możliwy: Jeżeli ktoś wpłaca środki na konto DPS-u, to one i tak muszą przejść przez urząd miasta. Potem wnioskujemy o ich udzielenie. W tej sprawie kontrolę prowadzi bydgoski ratusz. Urząd pytamy też, czy wobec trwającej sprawy karnej dyrektor nie powinna zostać zawieszona w obowiązkach. ©℗

REKLAMA 0211461412

eprasa.pl c83acda8be

ŚRODOWISKO NATURALNE

Krewetki i krewni koników morskich w Bałtyku? Nasze morze wciąż potrafi zaskoczyć

Choć stereotypy o Bałtyku nie ukazują naszego morza w najlepszym świetle, musimy pamiętać, że jest ono niezwykle ciekawym ekosystemem - siecią zależności tak złożoną, że nawet badacze nie raz się w niej gubią. Skomplikowane układy jednak bywają jednocześnie wrażliwe. Jak więc możemy zadbać o nasze morze?

Maciej Krajewski

Wśród wypoczywających nad wodą niezmiennie panuje przeświadczenie, że wczasy nad Bałtykiem należą do co najmniej nieprzewidywalnych. Kapryśna pogoda, zakwity sinic, słynne „paragony grozy" - wszystko to pewne nieodłączne już cechy nadbałtyckich plaż. Przykrywają one jednak wyjątkowość i niemałe znaczenie naszego polskiego morza. Bo gdy my kładziemy się na piasku, czy chwytamy za ster żaglówki, pod taflą wody buzuje życie nie mniej ciekawe, niż to widziane codziennie na powierzchni.

Szczęśliwie nie każdy z nas musi od razu zabierać się za nurkowanie czy pracę naukową. Nie brakuje bowiem instytucji, które podwodny świat nam przybliżają. I tu przebywającym w Trójmieście z pewnością na myśl przychodzi od razu Akwarium Gdyńskie

- Nasza ekspozycja obejmuje bardzo różnorodne środowiska. Nie tylko środowisko bałtyckie, ale Bałtyk oczywiście jest jednym z naszych najważniejszych obszarów zainteresowania. A to ze względu na to, że Akwarium Gdyńskie jest częścią Morskiego Instytutu Rybackiego, który po prostu zajmuje się badaniami zwierząt, morza. My staramy się być takim pomostem między światem nauki a takim światem ciekawości człowieka - wyjaśnia Weronika Podlesińska z Akwarium Gdyńskiego.

FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

Akwarium Gdyńskie to miejsce, w kórym możemy zetknąc się oko w oko z bogactwem bałtyckiej fauny

Zaskakujący mieszkańcy Bałtyku

Owe przybliżanie nauki przyjmuje różne formy - warsztatów, zajęć z grupami szkolnymi, czy spotkań w sąsiedniej marinie. I, jak opowiada przedstawicielka Akwarium, nie tylko tych najmłodszych często zaskakują przekazywane tu informacje.

Weźmy na przykład coś tak prostego, jak mieszkańców Bałtyku. O dorszu, śledziu czy flądrze wiemy chyba wszyscy, ale że spotkać możemy tu również krewetki?

- Tych krewetek mamy nawet sporo gatunków i dla wielu osób jest to zaskoczenie, że znajdziemy tutaj w ogóle różnego rodzaju skorupiaki - opowiada Weronika Podlesińska. - Dzieci idą do mariny, patrzą na wodę, oglądają krewetki i są zaskoczone właśnie tym, jak niesamowite stworzenia żyją tu, obok nas.

Nie mniej interesujące są też przypominające „wodne sznurowadła" wężynki i iglicznie - niepozorne ryby, które mają wiele wspólnego z... konikami morskimi.

- Mają nawet podobny sposób rozmnażania - dodaje przedstawicielka Akwarium Gdyńskiego. - Bo u konika morskiego wiemy, że to samiec ma torbę lęgową i odchowuje młode. W podobny sposób rozmnażają się wężynki i iglicznie. Samce igliczni posiadają, podobnie jak koniki morskie, torbę lęgową, w której podczas tarła rozwijają się jaja. U samców wężynki takiej torby nie ma i samica przykleja jaja do specjalnego zagłębienia na brzuchu samca, a on opiekuje się nimi aż do wyklucia młodych.

Wężynki i iglicznie żyją wśród łąk morskich - w trawach, pośród glonów. W Polsce są przy tym objęte ochroną.

- Oba gatunki są związane z płytkimi, porośniętymi roślinnością obszarami przybrzeżnymi. Chętnie żyją wśród trawy morskiej i innych roślin oraz glonów, które zapewniają im schronienie i pozwalają ukryć się przed drapieżnikami. Ich obecność pokazuje więc, jak ważne dla bałtyckich zwierząt są podwodne łąki i zachowanie naturalnych siedlisk w Zatoce - zauważa Weronika Podlesińska.

Zaskakującymi mieszkańcami raczej nie są natomiast meduzy, które zwłaszcza w ciepłych, letnich miesiącach możemy zauważyć na bałtyckich plażach. Najczęściej widywana jest u nas chełbia modra.

- Wiele osób zastanawia się, czy może ona poparzyć. Chełbia należy do parzydełkowców, ma więc komórki parzydełkowe, jednak ich działanie jest na tyle słabe, że zazwyczaj nie stanowi zagrożenia dla człowieka. Większość osób w ogóle go nie odczuwa - uspokaja przedstawicielka Akwarium.

Ale nawet, jeśli są właściwie niegroźne, dobrą nauką zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych będzie w przypadku chełbi modrej zachowanie dystansu.

- Zostawmy je w spokoju, dla ich dobra oraz dla naszego bezpieczeństwa i komfortu - dodaje Weronika Podlesińska. - Jeżeli zwierzę znajduje się w płytkiej wodzie, najlepiej go nie dotykać i pozwolić, by przemieszczało się wraz z falami i prądami.

Zaznaczmy jeszcze, że w chłodniejszych miesiącach w wodach Bałtyku spotkać możemy też włosiennika. Kontakt z parzydełkami tej meduzy jest już odczuwalny i może powodować bolesne podrażnienie skóry. Także tym bardziej weźmy sobie do serca radę o zachowaniu dystansu.

Intruzi czy goście?

W ostatnich latach dużo więcej mówi się też o gatunkach obcych, inwazyjnych. Także Bałtyk nie jest ich pozbawiony. Zwierzęta te trafiają do naszego morza np. w wodach balastowych statków lub przyczepione do ich kadłubów. A jeżeli warunki okażą się tu dla nich odpowiednie, mogą tworzyć stałe populacje.

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy
w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.

Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl c83acda8be

FOT. WERONIKA PODLESIŃSKA

Między wszystkimi zwierzętami, grupami zwierząt, występującymi w Bałtyku, istnieją ścisłe zależności

FOT. MACIEJ KRAJEWSKI

Sandacz występuje w Bałtyku w rejonach przybrzeżnych

FOT. N. OPALIŃSKA

Samce igliczni posiadają torbę lęgową. Na zdjęciu widać też krewetka

- Do takich zwierząt należą skorupiaki. W Bałtyku spotykamy kraba wełnistoszczypcego, który pochodzi z Azji Wschodniej, oraz krabika amerykańskiego, pochodzącego z wybrzeży Ameryki Północnej. W Bałtyku występuje też krab brzegowy, gatunek związany z północnowschodnim Atlantykiem - wymienia Weronika Podlesińska. - W ostatnich latach sporadycznie odnotowywane są również inne gatunki, takie jak kalinek błękitny, który pochodzi z zachodniego Atlantyku. Na razie nie oznacza to jednak, że zadomowił się on w Bałtyku na stałe. Niskie zasolenie naszego morza może ograniczać jego możliwości rozmnażania.

Warto w tym miejscu rozróżnić, iż nie każdy gatunek obcy staje się gatunkiem inwazyjnym.

- Za każdym razem, gdy nowy gatunek trafia do naszych wód, istnieje ryzyko zakłócenia równowagi jego ekosystemu. Jednak nie każdy gatunek może powodować szkody - zauważa przedstawicielka Akwarium. - Bałtyk nieustannie się zmienia, wraz z klimatem, środowiskiem oraz działalnością człowieka. Zawsze będzie się zmieniał, a skala i tempo tych zmian w dużej mierze zależą od nas.

„Co drugi oddech daje nam morze"

Bo i właśnie - ciekawostki ciekawostkami, ale opowieści te mają na celu pokazać też niezwykłą złożoność ekosystemu Morza Bałtyckiego, a co za tym idzie - mnogość czynników, które wpływają na jego kształt.

- Między wszystkimi zwierzętami, grupami zwierząt istnieją ścisłe zależności. Dlatego też opowiadamy o tym, jak te różne grupy zwierząt mogą na siebie wpływać - mówi Weronika Podlesińska. - Mamy różne grupy ekologiczne w Bałtyku (...). Wszystkie one zależne są nie tylko od warunków środowiska, ale właśnie tego, jak inna grupa funkcjonuje. Staramy się wyjaśniać te zależności, które są niezmiernie skomplikowane. Nawet dla nas, od czasu do czasu, bywają zawiłe.

W tej sieci zależności znajdujemy się i my. Bałtyk bowiem stanowi nieodłączny element nie tylko krajobrazu Pomorza, ale i całego tutejszego środowiska. Ale działa to również w drugą stronę.

- Czasami przyjeżdżają do nas osoby, które nie żyją bezpośrednio nad zbiornikami wodnymi, żyją daleko od morza. I może się wydawać, że żyjąc w dużej odległości od takich zbiorników wodnych, nie mamy wpływu na to środowisko. Natomiast jesteśmy ściśle zależni od tego, jak funkcjonuje morze, gdziekolwiek byśmy nie byli - zauważa przedstawicielka Akwarium Gdyńskiego. - Można powiedzieć, że co drugi oddech, który bierzemy, daje nam morze, ocean. Dlatego musimy dbać o to środowisko, choć nie widzimy, co się dzieje tam pod spodem. Te procesy są bardzo skomplikowane i powinniśmy starać się je zrozumieć, zobaczyć (...) i o to środowisko morskie dbać.

A jak przeciętny człowiek może się do tego przyczynić codziennymi działaniami? Już zwykłe sprzątanie po sobie zrobi ogromną różnicę.

- Wszystko, co zostawiamy na plaży, może wylądować potem w morzu. Uważajmy na to, by nie pozostawiać po sobie śmieci - doradza Weronika Podlesińska. - Staramy się dużo opowiadać o tym, czym jest świadomość morska czy tzw. idea Ocean Literacy, czyli świadomość tego, że jesteśmy nierozerwalnie związani ze środowiskiem wodnym, które kształtuje naszą rzeczywistość. Bo ono daje nam tlen, którym możemy oddychać; pokarm, który spożywamy i zapewnia nam warunki do życia na tej planecie. To jest jedna z najważniejszych naszych funkcji jako ośrodka edukacji morskiej.

AKCJA CHARYTATYWNA

0011544302

eprasa.pl c83acda8be

ARCHITEKTURA

Byłem we włoskim Muzeum Mitoraja. Wracam z dwoma wyrzutami sumienia: bielskim i katowickim

Skąd jesteś? Z Polski? To jak nasz Mitoraj – mówi do mnie kelnerka w małej knajpce, tuż obok dawnych miejskich murów. „Nasz Mitoraj" – mówią we Włoszech i między innymi dlatego właśnie tam powstało jego pierwsze na świecie muzeum. Dla nas wszystkich to muzeum to dwa wyrzuty sumienia

Marcin Zasada

Pietrasanta to małe miasteczko w północnej Toskanii. W ciągu podobnych, ciągnących się od granicy z Ligurią. Massa, Carrara, Pietrasanta są pięknie ułożone pod górami i tuż obok morza. Marmur jest wszędzie, najbardziej słynie z niego Carrara i podczas zwiedzania tamtejszych kopalń przewodnik pokaże Wam nawet, gdzie dawno, dawno temu siedział sobie Michał Anioł nadzorujący wydobycie kamienia na Mojżesza czy Dawida. W Carrarze czuć pieniądz, nawet krawężniki są z marmuru. W Pietrasanta jest najwięcej wrażliwości, najwięcej pomników, plenerowych rzeźb i sezonowych wystaw. Właściwie całe miasto każdego lata jest jedną wielką areną sztuki.

Tam właśnie swój dialog z antykiem prowadził Igor Mitoraj, słynny rzeźbiarz z Polski, słynniejszy we Włoszech i na całym świecie, niż w Polsce. Mitoraj zadomowił się we Włoszech. W jego muzeum usłyszałem historię jak zakolegował się z Federico Fellinim i faktem jest, że Włosi od dawna uznają go za swojego. O „naszym Mitoraju" powiedziała mi kelnerka, która w Pietrasanta wylądowała z Urugwaju. Przyjechała tu, przez Argentynę i północne Włochy, bo sama jest rzeźbiarką. Albo dopiero będzie.

Z Pietrasanta związanych było wielu artystów, ale muzeum zrobili Mitorajowi. To muzeum mocno akcentuje globalną sławę i oddziaływanie twórcy, co jest i powinno być powodem do dumy dla całej polskiej kultury. W eksponowanym życiorysie głównego bohatera mamy m.in. Kraków i studia w ASP pod okiem Tadeusza Kantora, a potem Paryż, Włochy, cały świat. Ja przypominam, że Mitoraj maturę robił w bielskim Plastyku, co może dla całego świata znaczenie ma znikome, ale dla Liceum Plastycznego w Bielsku-Białej i dla całego Bielska powinno mieć kolosalne. „Nasza szkoła/nasze miasto wychowało artystę, którego rzeźby zdobią miasta nie tylko całych Włoch, ale i Francji, Japonii, USA, Holandii, Niemiec, Hiszpanii czy Wielkiej Brytanii" – brzmi nieźle? Czy jedno zdanie na temat Bielska-Białej w przewodniku po włoskim muzeum Mitoraja byłoby cennym aktywem promocyjnym Polskiej Stolicy Kultury 2026? O tym nikt nie pomyślał i bardziej to problem Bielska-Białej niż Museo Mitoraj. To bielski wyrzut sumienia. A katowicki?

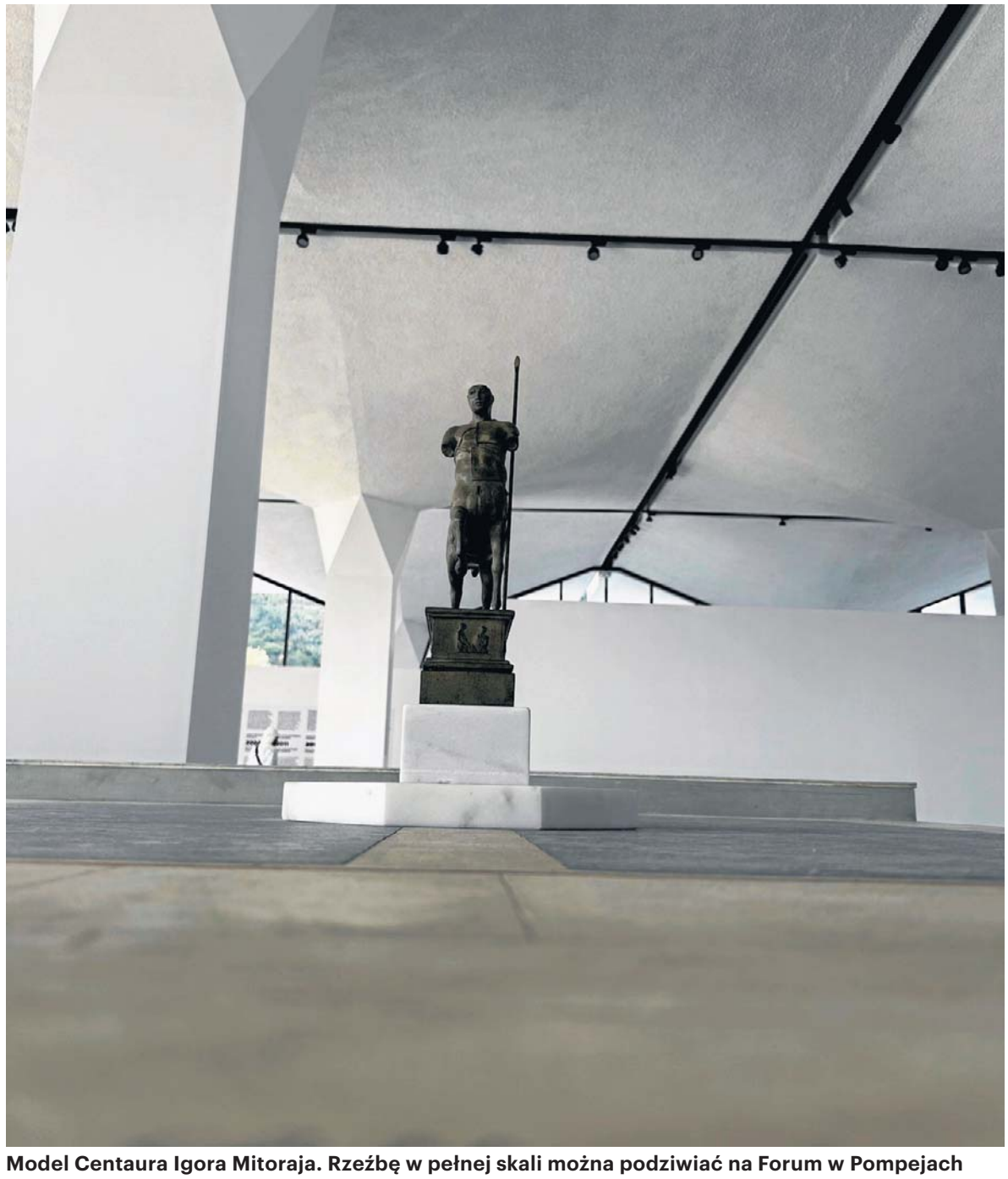

Model Centaura Igora Mitoraja. Rzeźbę w pełnej skali można podziwiać na Forum w Pompejach

Mitoraj krótko pracował w Katowicach, w Miejskim Handlu Detalicznym, ale potraktujmy to tylko jako pretekst dla drugiego wątku. Widzicie ten budynek? Co Wam on przypomina? Ja po raz pierwszy zobaczyłem go 7 czy 8 lat temu, podczas pierwszej wizyty w Toskanii. Wtedy stał pusty (i otwarty), bo wyprowadził się z niego supermarket Spar. Wlazłem do środka, chodziłem między jakimiś ściankami działowymi, robiłem zdjęcia i czułem się trochę jak w alternatywnych Katowicach. Te kielichy, przeszklenia, proporcje. Inna skala, inne kielichy, inna konstrukcja, ale tych podobieństw nie da się zlekceważyć.

Rok po pierwszej wizycie w Pietrasanta, halę z kielichami otoczyło ogrodzenie. Zanim zdążyłem się przestraszyć, że będą burzyć, przeczytałem na płocie, że powstanie tu muzeum. Potem był covid, były tradycyjne włoskie opóźnienia, problemy i przesuwanie terminu otwarcia. Już dwa lata temu widać było, co dokładnie Toskańczycy sobie zaplanowali: beton jak nowy, pobielony jak marmur, nowe okna, w środku otwarta przestrzeń. Dziś chwalą się, że halę w 1968 roku zaprojektował Tito Salvatori. Ja w upalny lipcowy poniedziałek byłem w niej jedynym z wiedzą o Wacławie Kłyszewskim, Jerzym Mokrzyńskim i Eugeniuszu Wierzbickim, którzy dekadę wcześniej stworzyli w Katowicach pierwowzór obiektu w Pietrasanta. Nie ma dowodów, że Tito Salvatori czerpał z projektu warszawskich „Tygrysów", ale są znaki.

Może kiedyś Włosi odgapili od Katowic, za to dziś zrobili w Pietrasanta coś, na co u nas nikt nie odważył się 15 lat temu, gdy burzono „Brutala", zastępując go czystą Galerią Katowicką. Na pewno jest w niej czyściej, pewnie nawet ładniej niż w zapuszczonym, lepiącym się od brudu gmachu dawnego dworca. Nigdy nie dowiemy się, co by było, gdyby jednak go w Katowicach nie wyburzono, a umyto. Namiastkę tego daje wizyta w Museo Mitoraj i to właśnie ten katowicki wyrzut sumienia.

A wystawa? Oprócz gotowych rzeźb, są formy i modele, wiele z nich słynnych, jak Centaur, którego w pełnej skali można zobaczyć na Forum w Pompejach. To oczywiste, że we Włoszech takie dialogi z antycznym dziedzictwem wyglądają najlepiej, najbardziej naturalnie i zrozumiale. Ale jeśli byliście już w kinie na „Odysei", pomyślcie, dlaczego ktoś taki jak Christopher Nolan, reżyser, który mógłby nakręcić dowolne widowisko science-fiction, z dowolnym budżetem i wymarzoną obsadą, zabrał się akurat za epos Homera. To również nasz kod kulturowy, prawda?

eprasa.pl c83acda8be

Museo Mitoraj od strony starego miasta. Kielichy i przeszklenia wyglądają znajomo, szczególnie w Katowicach

Hala zaprojektowana przez Tito Salvatoriego w 1968 roku została starannie odnowiona

Takie widoki pamiętamy z wnętrza dworca w Katowicach. Tu jest inaczej, bo jest czysto

W Muzeum można podziwiać 69 prac Mitoraja. Niestety, nie ma w nim nawet wzmianki o Bielsku-Białej

Co zrobić z brutalistyczną architekturą? Włosi mają mnóstwo zabytków, ale i o nią potrafili zadbać

ZDJĘCIA: MARCIN ZASADA

eprasa.pl c83acda8be

KULTURA

Rosalie: Nie chciałam oglądać polskich bajek. Niemiecki był moim pierwszym językiem

Tak bardzo chcemy być widoczni i zauważeni, że zapominamy, co jest dla nas dobre i co sprawia nam przyjemność – mówi wokalistka i kompozytorka Rosalie. Opowiada o życiu między Niemcami a Polską, trudnym powrocie do własnego języka i odzyskiwaniu radości tworzenia.

Anita Czupryn

Urodziłaś się w Berlinie, dorastałaś w Polsce, tworzysz w języku polskim, ale masz doświadczenie dwóch kultur. Kiedy ktoś pyta, skąd jesteś, która odpowiedź jest Ci najbliższa?

To temat, który przewija się przez moje życie od bardzo dawna, i nie ma na to pytanie prostej odpowiedzi. Z jednej strony jak najbardziej czuję się Polką, bo tutaj spędziłam większość życia. Z drugiej strony, Berlin jest dużą częścią mnie. Myślę też, że moi rodzice, którzy mieszkali tam przez dwadzieścia lat, mieli ogromny wpływ na moje dorastanie. Było ono dosyć nietypowe. Dorastałam w miejscu, które w latach 90. było znacznie bardziej otwarte kulturowo. Urodziłam się w 1993 roku, kiedy Berlin rozkwitał. To, że w przedszkolu były dzieci różnego pochodzenia, było absolutnie normalne. Dopiero po przyjeździe do Polski zauważyłam różnicę, bo w polskich przedszkolach nie spotykałam dzieci innego pochodzenia.

Jaka różnica jako pierwsza rzuciła Ci się w oczy?

To, że wszyscy wyglądają podobnie. Było to spostrzeżenie dziecka: niewiele się od siebie różnimy. Z czasem zaczęłam jednak odczuwać, że jeśli jakieś różnice się pojawiają, nie są traktowane pozytywnie. To pierwsze zderzenie nie było dla mnie najprzyjemniejsze, bo skojarzenia z Niemcami niestety wciąż obciążone były stereotypami. Na szczęście dziś bardzo się to zmieniło. Dobrze obserwować, jak Polska otworzyła się na inne narodowości. Wtedy nie do końca rozumiałam, dlaczego odmienność miałaby być jakimkolwiek problemem. Od początku miałam z nią przecież bezpośredni kontakt.

Kiedy wpisuje się „Rosalie" do wyszukiwarki, Wikipedia przedstawia Cię jako polsko-niemiecką artystkę. Czujesz, że to określenie jest prawdziwe? Odpowiada Ci to?

Im dłużej tutaj żyję, tym mniej to określenie ze mną rezonuje. A jednak, kiedy przejeżdżam pociągiem przez granicę i wjeżdżam do Berlina, mam poczucie, że wracam do domu. To przedziwne, bo Berlin był tak naprawdę tylko sześcioletnią przygodą, a mimo to zajmuje w moim sercu dużo miejsca. Często zadaję sobie pytanie, co oznacza dla mnie bycie Polką. Nie jest tak, że nie myślę o przeszłości albo chciałabym się jej w jakiś sposób pozbyć. Ostatnio rozmawiałam ze znajomą, która urodziła się pod Warszawą, lecz mimo że mieszka w stolicy prawie całe życie, nigdy nie mówi o sobie, że jest Warszawianką. Pomyślałam wtedy: „Kurczę, ja zawsze wszystkim odpowiadam, że jestem Poznanianką".

Do Poznania przeprowadziłaś się jako sześcioletnia dziewczynka, znająca niemiecki od urodzenia.

Tak. Niemiecki był moim pierwszym językiem.

Polsko-niemiecka tożsamość jest dla Ciebie osobistym tematem czy naturalnym narzędziem patrzenia na świat?

Myślę, że jedno łączy się z drugim. To z pewnością temat osobisty. Bardzo idealizowałam dzieciństwo, ponieważ przeprowadzka w latach 90. była dla mnie dużą i radykalną zmianą. Gdzieś z tyłu głowy zawsze zastanawiałam się, co to znaczy, że urodziłam się właśnie tam. W wywiadach wiele osób pytało mnie, na ile mnie to zdefiniowało i jaki miało wpływ na to, kim jestem oraz na moją twórczość.

I co odpowiadasz?

Że na pewno miało wpływ, chociażby dlatego, że od dziecka mogłam poznawać wiele kultur, także od strony muzycznej.

Co daje człowiekowi dorastanie między dwoma krajami? Większą wrażliwość?

Nie wiem, czy to kwestia większej wrażliwości. Raczej pojawia się pytanie, czy gdzieś przynależysz – i dokąd ja przynależę. Początek mojego życia był gdzie indziej i w pewnym sensie miałam poczucie, że zostało mi to odebrane, choć byłam bardzo mała. Decyzję o przeprowadzce podejmują przecież dorośli, nie dzieci; wcześniejsze życie zostawia się za sobą. To chyba najważniejszy temat: za każdym razem szukałam swojego miejsca i chciałam sobie udowodnić, że mogę gdzieś pasować.

Wiem, o czym mówisz. Człowiek potrzebuje korzeni, asymilacji, uziemienia. Też tego nie miałam, więc dla mnie obronnym odruchem było mówienie, że pochodzę znikąd i że tam gdzie powieszę płaszcz, jest mój dom.

Zgadzam się z tym. Też mam coś takiego. Tylko, dla mnie zawsze bardzo ważne było, żeby mieć dom. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym go nie mieć, nie wyobrażam sobie nie poświęcać temu energii. To, żeby mieć swoje miejsce, jest jednym z największych priorytetów w moim życiu. Być może bierze się to właśnie stąd, że kiedyś w pewnym sensie czułam, że dom straciłam. Mimo że zawsze byłam razem z moją rodziną, to ta zmiana okazała się na tyle duża, że jako dorosła osoba bardzo dbam o to, by czuć się jak w domu. Na szczęście mi się to udaje.

Berlin i Poznań są w Twojej pamięci, osobowości i muzyce dwoma różnymi rytmami?

Berlin dał mi poczucie wolności i przekonanie, że wszystko jest możliwe. Ta energia towarzyszyła mi również później, bo przez wiele lat oglądałam niemiecką telewizję. Tak naprawdę byłam częścią niemieckiego świata bardziej niż polskiego. Na początku miałam dystans do polskiej telewizji i bajek.

Nie chciałaś oglądać polskich bajek?

Nie chciałam. Na szczęście później to się zmieniło. Otwartość to cecha, którą wyniosłam dzięki moim rodzicom. Wyjechali z Polski, nie bali się szukać nowych rozwiązań. Nie pracowali od ósmej do siedemnastej, pokazali mi, że można wykonywać inne, kreatywne zawody. Dzięki temu w jakimś stopniu łatwiej mi było podążać tą drogą, mimo że będąc już w samej Polsce to wszystko się gdzieś tam zmieniło, ta dynamika. Pójście na studia w jakimś stopniu było obowiązkiem.

Zdecydowałaś się na studia i wybrałaś turkologię w Poznaniu.

Poszłam na turkologię z tego względu, że nauka języków od dziecka przychodziła mi łatwo. Studia traktowałam jednak trochę jak obowiązek. Miałam wrażenie, że bez nich nie wiem jeszcze, kim jestem, czego chcę i jakie mam możliwości. Nadal szukałam siebie. Kiedy patrzę na to z dzisiejszej perspektywy, myślę, że teraz skorzystałabym z nich lepiej niż w wieku dziewiętnastu lat. Wtedy człowiek niewiele jeszcze o sobie wie, a przynajmniej tak było ze mną. Myślę, że nie wykorzystałam tych studiów tak, jak mogłabym. Z podziwem patrzę na starsze osoby, które zaczynają studiować, mając już zupełnie inne podejście: nie uważają tego za obowiązek, są ciekawe wybranej dziedziny i chcą się rozwijać. Studia nie są dla nich przechowalnią ani warunkiem własnej wartości. Szkoda, że sama wtedy tak nie myślałam. Nie byłam jeszcze gotowa i traktowałam studiowanie zbyt poważnie. To oczywiście poważna sprawa, ale bez studiów też można świetnie funkcjonować.

Znam osoby, które świetnie funkcjonują bez studiów. Ale za to pewnie mówisz płynnie po turecku?

Świetnie by było! Niestety minęło dużo czasu, a kiedy człowiek nie używa języka, bardzo łatwo go stracić. Gdybym podjęła jakieś kursy, turecki zapewne szybko by do mnie wrócił. Postawiłam jednak na muzykę, więc język zszedł na dalszy plan.

Potrafisz rozdzielić, czego nauczyły Cię Niemcy, a czego Polska?

To ciekawe, nigdy nie zadawałam sobie tego pytania. Otwartość na pewno pochodzi stamtąd, z Berlina, bez dwóch zdań. Podobnie jak odwaga, by sięgać po marzenia. Polska jest kulturowo kojarzona z brakiem wiary w siebie i z tym, że często nie próbujemy sięgać dalej. Nawet w muzyce zawsze wiedziałam, że nie chcę skupiać się wyłącznie na Polsce. Chyba bierze się to stąd, że mieszkałam już poza nią i nie czuję, by ograniczała mnie granica jednego kraju. To jest dla mnie najważniejsze.

Co Berlin dał Ci jako artystce? Czy daje twórcom coś, czego nie mogą dać inne miasta?

Berlin to przede wszystkim dżungla, w której naprawdę niełatwo przetrwać. Widać to na ulicach. Panuje kompletny chaos, przez cały czas jesteś wystawiona na bodźce. Jedziesz metrem albo idziesz ulicą i dostrzegasz kontrasty: tu bieda, tam bogactwo. To bardzo dotkliwe. Jest tam również mnóstwo mody. Ludzie wyrażają siebie strojami; zawsze mnie to fascynowało i to chyba także stamtąd wyniosłam. Oni są głośni. Są widoczni. Nie boją się. I to jest coś, co bardzo chętnie obserwowałam. Czy patrząc na osobę, która gra na gitarze, czy na tańczące postaci w metrze. To było trochę jak oglądanie filmu.

Miałam podobne wrażenie, kiedy byłam ostatnio w Berlinie. Siedziałam na Kreuzbergu i oglądałam ludzi. I to było dość surrealistyczne. Chłopak z Afryki handlujący narkotykami.

eprasa.pl c83acda8be

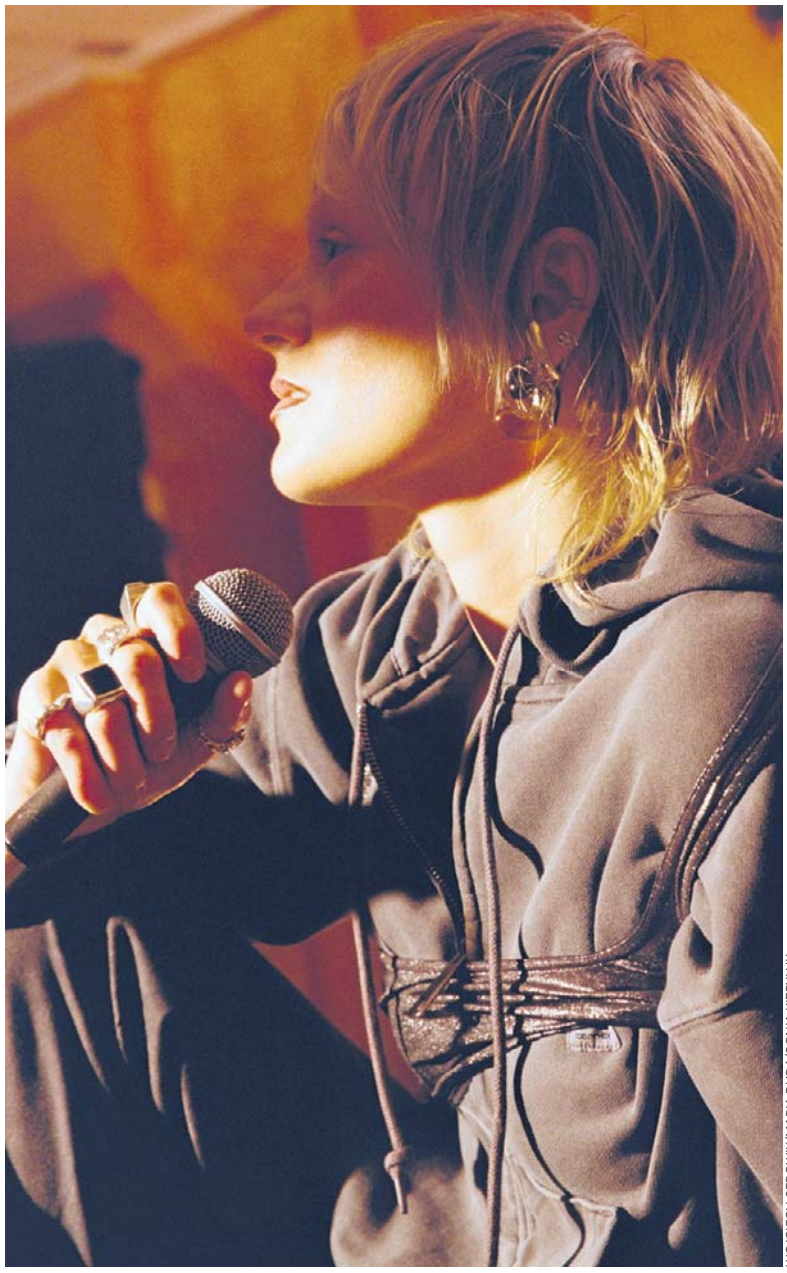

WOJCIECH SEROWIK/MARIA DUDA/SONIA KIERYLUK

Rosalie: Konsekwencja jest bardzo ważna, choć wszystko zależy od obranej drogi. Można iść za tym, czego słuchają masy. Ja znalazłam inną drogę

Młoda Azjatka całująca się ze starszym Niemcem na środku ulicy. Nic sobie nie robili z jeżdżących samochodów, przechodzących ludzi, całowali się chyba z kilkanaście minut.

Powiedziałabym, że to jest kwestia tego, że tam nie ma tabu. I jest łatwość w okazywaniu przeróżnych uczuć, w okazywaniu emocji. Polska jest bardziej skryta, bardziej skromna. Dyskretna.

Muzyka także jest dla Ciebie językiem między kulturami, bo łączysz różne style. Czy życie między kulturami ułatwia poruszanie się między gatunkami?

Zdecydowanie to może mieć bezpośredni wpływ. Im więcej widzisz i doświadczasz, im więcej podróżujesz i poznajesz, tym więcej masz spostrzeżeń. Nie musisz jednak pochodzić z innego miejsca, żeby szukać różnych gatunków. To zależy od tego, czy masz ochotę eksperymentować. Podróże do Azji czy po Europie pozwalają poznawać kultury i są absolutnie inspirujące. Spójrzmy na wokalistów hiszpańskojęzycznych, którzy robią dziś jedne z największych karier na świecie. To niesamowite. Polacy idą na stadion słuchać Hiszpana i śpiewają z nim po hiszpańsku, choć niektórzy kompletnie nie znają tego języka. Piękne jest to, że różne kultury mogą łączyć ludzi.

Masz poczucie, że polska i niemiecka publiczność inaczej słuchają muzyki?

Bardzo często jeżdżę na koncerty do Berlina, bo wielu artystów, których słucham na co dzień, niestety nie dociera do Polski. Berlin jest blisko, mogę więc wsiąść do pociągu i posłuchać swoich idoli. Na koncertach, na których bywam, zwykle artystów alternatywnych, niemiecka publiczność nie wyciąga telefonów. Widać duży szacunek do artysty i całego wydarzenia. Mam wrażenie, że widzowie są tu i teraz. Są też chyba bardziej otwarci na obcy język niż publiczność w Polsce. Skoro ci artyści u nas nie występują, prawdopodobnie nie ma wystarczająco licznej publiczności, która przyszłaby na koncert. Bywa mi z tego powodu przykro, bo uważam, że to genialna muzyka, która mogłaby znaleźć w Polsce odbiorców, ale nie ma siły przebicia. Myślę, że wynika to również z tego, że edukacja muzyczna w Polsce leży.

Często mówi się o Tobie: wokalistka, a ja mam wrażenie, że to za mało. Za kogo sama się uważasz? Jesteś kompozytorką, autorką, selekcjonerką muzyki, głosem, opowiadaczką?

Bardzo ważne jest dla mnie tworzenie melodii. Zawsze była najważniejszym elementem utworu, język pojawiał się później. Najistotniejsze jest dla mnie wyrażanie emocji poprzez dźwięk – dokąd mogę go poprowadzić, żeby coś poczuć. Instrumenty nie używają słów, a też potrafią poruszać. Pisanie melodii jest więc chyba jedną z moich ulubionych części twórczości. Ostatnio największą przyjemność daje mi samo bycie w procesie twórczym. Piszę również teksty. Często zastanawiam się, czy tak trudno pisać mi po polsku właśnie dlatego, że nie był to mój pierwszy język. Nie wiem.

Czujesz, że język, w którym tworzysz, uruchamia w człowieku inną osobowość?

Zdecydowanie. Absolutnie. Często o tym rozmawiam. Czasami mam poczucie, że w polskich tekstach nie potrafię wyrazić siebie tak, jakbym chciała.

A jednak śpiewasz po polsku.

Na początku pojawiła się z zewnątrz sugestia, żeby nie bać się polskiego. Jesteśmy w Polsce, a słuchacze lubią w pełni rozumieć to, co słyszą. Miałam przed tym dużą blokadę, bo wcześniej zawsze pisałam i śpiewałam po angielsku. Później polski stał się częścią mnie. Dobrze mi zrobiło to, że potrafię komunikować się w tym języku z publicznością. Na długi czas zupełnie porzuciłam angielski. Kiedy rok temu pracowałam nad albumem w całości po angielsku, miałam poczucie, jakbym wróciła do siebie. Jakbym wreszcie mogła używać słów, które znaczą dla mnie dokładnie to, co chcę, żeby znaczyły. Polski jest bardzo skomplikowany. Trudno było mi używać go w tekstach wprost. Zawsze szukałam metafor, ponieważ bezpośrednie sformułowania wydawały mi się zbyt proste. Ten język nie jest też dla mnie aż tak dźwięczny. To ewidentnie była blokada, którą staram się przezwyciężyć, i idzie mi coraz lepiej. Myślę, że jest to bardzo osobista kwestia tożsamościowa; nie wszystkim musi być trudno pisać po polsku. Im lepiej poznaję siebie, im mniej myślę o cudzych opiniach i im bardziej wiem, kim jestem, tym łatwiej mi pisać po polsku.

Jesteś nie tylko artystką. Byłaś dziennikarką, opowiadałaś też o muzyce w radiu. Co dawało Ci bycie po drugiej stronie mikrofonu?

To było już jakiś czas temu. Prowadziłam audycje w Radiu 357 i Czwórce. Najważniejsza była możliwość dzielenia się z odbiorcami muzyką, którą lubię i której słucham: poszerzania ich wiedzy o gatunkach i pokazywania nowych artystów, do których wcześniej nie mieli dostępu. Liczba wykonawców na scenie jest dziś tak ogromna, że do niektórych bardzo trudno dotrzeć, choć są prawdziwymi perełkami. Najbardziej cieszyło mnie to, że mogłam dzielić się z ludźmi czymś bliskim, pięknym i wyjątkowym. Wspaniale było doświadczać tego, że słuchają i dziękują za audycję.

Wspomniałaś, że edukacja muzyczna w Polsce szwankuje. Czy młodych ludzi trzeba dziś uczyć słuchania muzyki, skoro w aplikacjach mają dostęp do wszystkiego? I co traci słuchacz, kiedy wybiera za niego algorytm?

Edukacja na pewno bardzo by pomogła. W szkołach mogłyby odbywać się zajęcia, podczas których rozmawia się o różnych gatunkach, wspólnie słucha muzyki i chodzi na koncerty. Chodzi o poszerzanie horyzontów przede wszystkim bardzo młodych ludzi. Później zwykle słuchamy już tego, co z nami rezonuje. Algorytmy są, jakie są, ale znaczenie ma również podążanie za trendami. To chyba zabija we mnie wiarę w osobiste słuchanie muzyki.

Opowiadanie o muzyce również może być formą edukacji.

Na pewno jest bardzo ważne. W każdym wieku istnieją jednak muzyczne trendy. Tak jak ja chciałam gdzieś przynależeć, dzieci również chcą należeć do grupy, więc będą słuchały tego, czego słucha większość. Chyba że w domu mają rodziców, którzy o to dbają, bo – od tego zacznijmy – sami w ogóle słuchają muzyki.

Masz za sobą nagrody i wielokrotne nominacje do Fryderyków, zostałaś okrzyknięta nadzieją polskiej muzyki. Zastanawiałam się, kiedy młoda artystka zaczyna traktować swoją pasję poważnie. Czy kiedy ktoś ją doceni i przyzna nagrodę czy kiedy sama postanowi, że to jej droga?

Myślę, że kiedy sama podejmuje taką decyzję. Oczywiście bardzo zależało mi na uznaniu i szacunku, ale największa satysfakcja przychodzi wtedy, kiedy tworzę w zgodzie ze sobą. Nie zależy od tego, czy dostanę nagrodę albo wystąpię w telewizji. Szczerze mówiąc, nie jestem osobą, której przychodzi to z łatwością. Świat show-biznesu wywołuje we mnie dużo stresu. Jest w nim wiele show. Jedni czują się w tym jak ryba w wodzie, inni niekoniecznie. Znalezienie swojego miejsca i odpowiedzi na pytanie, co jest dla mnie dobre i co sprawia mi przyjemność, ma podstawowe znaczenie dla twórczości młodego człowieka. Niestety często o tym zapominamy, bo tak bardzo chcemy być widoczni i zauważeni.

Jakich kompetencji, poza talentem, potrzebuje dziś artysta, żeby utrzymać się na rynku?

Konsekwencja jest bardzo ważna, choć wszystko zależy od obranej drogi. Można iść za tym, czego słuchają masy, podchodzić do muzyki bardzo matematycznie i wiele na tym zyskać, jeśli chodzi o zasięgi, finanse, być może również poczucie spełnienia. Ja znalazłam inną drogę: konsekwentne pozostawanie blisko siebie, nieuleganie opiniom, szukanie rozwiązań, rozwój, a przede wszystkim popełnianie błędów i godzenie się z tym, że zawodowo nie zawsze jest się w dobrym miejscu. Myślę, że właśnie to buduje tożsamość wokalisty.

W jakim momencie teraz jesteś? Co się dzieje w Twoim życiu?

Pracuję nad swoim czwartym albumem. W zeszłym roku również nagrałam płytę, ale w ramach innego projektu, który bardzo otworzył mi głowę. Było to wyjście ze strefy komfortu, a częściowo także z dyskomfortu, bo po dziesięciu latach na rynku łatwo znaleźć się w miejscu, w którym robisz to, co znasz i co się sprawdza i nie musisz szukać dalej. Wewnętrznie czułam, że muszę zrobić coś innego, bo inaczej przestanę się rozwijać. Podjęłam się projektu z producentem 2K88, którego bardzo cenię i którego znam od wielu lat. Odejście od mojego typowego projektu, czyli od Rosalie, dało mi dużo dystansu. Sprawiło, że łatwiej mi tworzyć dla samej siebie: nie myślę o tym, co powinnam, tylko po prostu tworzę. Znów sprawia mi to przyjemność. Doświadczam różnych możliwości, a poszukiwanie siebie, czy to w muzyce, czy w codziennym życiu, bardzo dobrze mi robi. Myślę też, że częściowe wycofanie się z mediów społecznościowych sprawiło, że na nowo polubiłam robienie muzyki.

eprasa.pl c83acda8be

HISTORIA

Jak fałszywy arystokrata próbował wyłudzić fortunę w Przemyślu

Latem 1914 roku do przemyskiego sądu zgłosił się mężczyzna podający się za Waleriana Radziwiłła. Twierdził, że czekają tam na niego tysiące koron, a kolejne pół miliona zdeponowano w Tarnopolu

Arkadiusz Bednarczyk

Historia zna wiele przypadków ludzi, którzy podawali się za kogoś innego. Wymieńmy tu choćby znaną sprawę niejakiego Jacka Silbersteina vel Cześka Śliwy, związanego z Podkarpaciem, który podawał się za konsula austriackiego. Podobna sprawa, do której wmieszano znany ród Radziwiłłów, zdarzyła się przed wojną w Przemyślu.

Sprawy nieślubnych dzieci polskich arystokratów były tajemnicą poliszynela. Choć wychowywani byli w sztywnej i pruderyjnej atmosferze rodzinnych dworów, po osiągnięciu dojrzałości wielu z nich spędzało upojne chwile w ramionach swoich kochanek czy kochanków. Nie pomogło zasłanianie antycznych rzeźb przez domowe guwernantki czy zamykanie na klucz pałacowych komnat rodzicieli. Gdy owoce takich zakazanych związków przychodziły na świat, często nie miał się kto nimi zająć.

Dobrym przykładem mógłby być romans księżnej Zenaidy z Hołyńskich i Rogera Raczyńskiego. Dziecka nie uznał mąż Zenaidy książę Lubomirski. Hrabia musiał więc szukać fikcyjnej matki. I znalazł niejaką Marię Gottschall, która zgodziła się uznać dziecko w zamian za dożywotnią pensję i brak obowiązku zajmowania się nim...

Ale byli też tacy, którzy wykorzystywali obyczajowe skandale wśród arystokratycznych elit, aby coś „ugrać" dla siebie. Rzadko im się to jednak udawało.

Podejrzane sumy

Pewnego lipcowego popołudnia 1914 roku do gmachu przemyskiego sądu zgłosił się niejaki Walerian Radziwiłł. Nazwisko znane, związane ze sławnym rodem arystokratycznym, którego członkowie zasłużyli się w historii Polski. Toteż nasz bohater, który przybył do sądu wraz z dwoma znajomymi - przemyskim Żydem Hornikiem oraz rzeźnikiem Józefem Rysawym, przedstawił się jako książę. Panowie udali się do biura radcy Dmochowskiego celem pobrania złożonego w sądzie tutejszym rzekomego depozytu kilku tysięcy koron.

Mizernie wyglądający książę od razu zwrócił uwagę sądowego urzędnika. Dmochowski nie dał wiary tłumaczeniom, iż prócz

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Znany przemyski adwokat dr Leonard Tarnawski

owego pieniężnego depozytu w przemyskim sądzie, książę Walerian posiada jeszcze większy w wysokości pół miliona koron w sądzie w Tarnopolu, a jego kuratorem jest mecenas Tarnawski.

No i to podejrzane otoczenie: Hornik znany z „przemyskiego kercelaka" oraz Rysawy, kombinujący rzeźnik podający się za właściciela jakiejś podejrzanej realności. Dlatego radca Dmochowski postanowił skontaktować się ze znanym w ówczesnym Przemyślu, a wymienionym tutaj przez „księcia" adwokatem, dr Leonardem Tarnawskim.

Znany adwokat demaskuje

Mecenas był zasłużonym społecznikiem, po wybraniu go do galicyjskiego Sejmu zrezygnował z odznaczenia go austriackim orderem Żelaznej Korony. To za jego prezesury wybudowano gmach przemyskiego Towarzystwa Gimnastycznego Sokół. Działał w Towarzystwie Weteranów Powstania Styczniowego, był jednym z twórców Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a w latach 1909-23 stał na jego czele jako przewodniczący. W czasie walk o Przemyśl w listopadzie 1918 roku wszedł w skład komisji miejskiej, której zadaniem było utrzymanie porządku do chwili rozwiązania spornych kwestii narodowościowych.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, w okresie II Rzeczypospolitej został awansowany do stopnia podporucznika weterana Wojska Polskiego. W listopadzie 1925 roku otrzymał honorowe obywatelstwo Przemyśla . Tak doskonała postać mecenasa popchnęła radcę Dmochowskiego, aby zatelefonować do jego kancelarii. I otrzymał wiadomość, że i owszem, prowadzi on pewne sprawy księcia Radziwiłła, szkopuł jednak w tym, że nie tego..

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Budynek sądu powiatowego w Przemyślu przed wojną. To właśnie tutaj miał się znajdować depozyt pieniężny, który rzekomo został zdeponowany przez księcia Waleriana

Oburzony „książę" zaczął nerwowo przekonywać, że pan Leib Hornik jest jego doradcą prawnym i dobrze go zna, zaś on sam chwilowo mieszka u Rysawego. Zrezygnowany urzędnik poinformował wobec tego naszego „księcia", aby przybył on do sądu o trzeciej po południu, on tymczasem pośle po referenta, który sprawę załatwi. Panowie wyszli więc z gmachu sądu i udali się do najbliższej restauracji, a Dmochowski zadzwonił po policję.

W popołudniowej porze ubrani w świeżutkie anglezy (surduty) i cylindry panowie pojawili się ponownie w sądzie. W gąszczu sądowych korytarzy natrafili jednak na policyjnych agentów, którzy nakazali naszym dżentelmenom udać się do stojącej przed budynkiem dorożki. Po kilkuminutowej przejażdżce przybyli na komisariat. Hornik i Rysawy niewiele mieli do powiedzenia. Za to nasz „książę" chętnie opowiedział historię swojego życia.

Zadośćuczynienie za smutne lata dzieciństwa

Walerian miał urodzić się jako nieślubny syn księcia Hieronima Radziwiłła z niejaką Orłowską. Chłopiec wychowywał się w ukryciu i zaniedbaniu. Ponieważ z czasem, kiedy już dorósł, zabrakło mu środków do życia, a rodzice nie chcieli łożyć na jego utrzymanie, musiał zatrudnić się jako robotnik w fabryce.

Na dowód tego pokazywał książeczkę zatrudnienia istotnie wystawioną na Waleriana Radziwiłła oraz inne dokumenty. Podczas przesłuchania Walerian uparcie twierdził, że należne mu sumy rzeczywiście zdeponowane są w sądach w Przemyślu i Tarnopolu. Były to niejako formy zadośćuczynienia za dotychczasowy, mizerny los.

Kiedy jeden z urzędników policyjnych sprawdził papiery, nie wzbudziły one żadnych podejrzeń. Wobec braku popełnienia przestępstwa „książę" Walerian został wypuszczony na wolność. Wraz z nim wypuszczono Hornika i Rysawego, a Radziwiłłowi poradzono, aby postarał się o ustalenie swojej tożsamości w sądzie lwowskim.

Zadowoleni panowie opuścili gmach policji. „Książę" oddalił się w nieznanym kierunku, zaś Hornik począł chwalić się na przemyskich ulicach, że był doradcą prawnym prawdziwego księcia. Kiedy zaś prokuratura postanowiła jeszcze raz dogłębnie sprawdzić całe zajście, ponieważ nabrała podejrzeń, „że jest to grubsza afera", zabrakło już „księcia", który wyparował z przemyskich ulic.

eprasa.pl c83acda8be

ROZMOWA

Starzenia nie da się zatrzymać... ale można z nim negocjować

Rozmowa z dr n. med. Małgorzatą Sokół – prodziekanem ds. kierunku kosmetologia w Kolegium Medycznym Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie

Marlena Bogdan-Marut

Zacznijmy od dość brutalnie szczerego pytania. Czy istnieje zabieg – chirurgiczny albo niechirurgiczny – który jest w stanie zatrzymać starzenie?

Nie istnieje metoda, która zatrzyma biologiczny proces starzenia. Jest on naturalnym elementem funkcjonowania naszego organizmu. Z wiekiem komórki coraz wolniej się regenerują, a zdolność organizmu do odbudowy tkanek stopniowo maleje. Wynika to między innymi z faktu, że większość komórek somatycznych ma ograniczoną liczbę podziałów, określaną jako limit Hayflicka. Po jej wyczerpaniu komórki przechodzą w stan starzenia komórkowego, czyli senescencji. Przestają się dzielić, ale nadal pozostają aktywne metabolicznie i wpływają na otaczające tkanki. Starzeniu sprzyjają również kumulujące się uszkodzenia DNA, skracanie telomerów oraz szereg innych mechanizmów opisanych przez współczesną biologię. Wszystko to sprawia, że nie jesteśmy w stanie zatrzymać starzenia, możemy natomiast wpływać na jego tempo i ograniczać jego skutki.

Co ciekawe, pierwsze oznaki starzenia pojawiają się znacznie wcześniej, niż większość z nas przypuszcza. Już około 25. roku życia stopniowo spada produkcja kolagenu, elastyny i kwasu hialuronowego. Początkowo nie dostrzegamy tych zmian, jednak z czasem skóra traci jędrność i elastyczność, a jej zdolność do regeneracji wyraźnie się zmniejsza.

Skoro starzenia nie da się zatrzymać, to czy możemy sprawić, żeby przebiegało wolniej?

Tak. Są trzy filary, które mają największe znaczenie. Pierwszy to fotoprotekcja, która jest najskuteczniejszym działaniem przeciwstarzeniowym, jakie znamy. Promieniowanie UV odpowiada za istotną część zmian widocznych na skórze, dlatego krem z filtrem SPF powinien być podstawą pielęgnacji przez cały rok. Jednak sam fakt aplikacji nie wystarczy, kluczowa jest odpowiednia porcja, odpowiadająca w przypadku twarzy dwóm liniom kremu wyciśniętym na palec wskazujący i środkowy.

FOT. BARBARA GALAS

Dr n. med. Małgorzata Sokół jest specjalistką w dziedzinie medycyny estetycznej i kosmetologii regeneracyjnej

Drugi filar to styl życia. Sen, aktywność fizyczna i dobrze zbilansowana dieta mają ogromny wpływ na tempo starzenia organizmu. Szczególnie ważny jest sen – to właśnie wtedy zachodzą procesy regeneracji i naprawy uszkodzeń komórkowych – 7 godzin dziennie to absolutne minimum dla dorosłego człowieka.

Trzeci filar to indywidualnie dobrana pielęgnacja, zabiegi kosmetologiczne i/lub z zakresu medycyny estetycznej. I słowo „indywidualnie" jest tutaj kluczowe. Nie istnieje jeden zabieg, który będzie odpowiedni dla wszystkich. Najlepsze efekty osiągamy wtedy, gdy medycyna estetyczna nie zmienia naszej twarzy, lecz dyskretnie wspiera to, co daje natura. Jej celem nie powinno być stworzenie nowej osoby, ale zachowanie zdrowego, świeżego wyglądu na każdym etapie życia.

Powiedziała pani, że zabiegi zawsze powinny być dobierane indywidualnie. Dlaczego?

Bo każdy z nas starzeje się inaczej. U jednych osób pojawiają się przede wszystkim drobne zmarszczki, u innych twarz traci owal, a jeszcze u innych najbardziej widoczne stają się oznaki zmęczenia. Dlatego zabieg, który u jednej osoby przyniesie świetny efekt, u innej może okazać się zupełnie nietrafiony. Wyobraźmy sobie dwie kobiety. Jedna schudła kilkanaście kilogramów i straciła objętość twarzy. W jej przypadku zabieg wolumetryczny może przywrócić naturalne proporcje. Druga ma grubszą skórę i wyraźnie opadający owal twarzy. Gdy zastosujemy dokładnie ten sam zabieg, twarz może stać się cięższa i mniej harmonijna. Dlatego tak ważna jest konsultacja ze specjalistą. Najpierw trzeba ocenić kondycję skóry i sposób, w jaki się starzeje, a dopiero później dobrać odpowiednią terapię.

Mam wrażenie, że w ostatnich latach bardzo zmieniły się również trendy w medycynie estetycznej.

Zdecydowanie. Jeszcze kilka lat temu dominowała moda na mocne wypełnianie twarzy. Efekt miał być widoczny od razu – wydatne kości policzkowe, wyraźnie zarysowane usta i żuchwa, skóra napięta byleby mocniej. Dziś odchodzi się od takiego podejścia. Wiemy znacznie więcej o tym, jak zachowują się wypełniacze po latach, dlatego coraz większy nacisk kładzie się na naturalność i co za tym idzie istotne ograniczenie dawki. Wiele osób decyduje się nawet na rozpuszczenie preparatów podanych kilka lat wcześniej. Współczesna medycyna estetyczna nie dąży do stworzenia nowej twarzy. Jej zadaniem jest subtelne odświeżenie wyglądu przy zachowaniu naturalnych rysów i indywidualnych proporcji.

Czy są zabiegi, które rzeczywiście potrafią wizualnie odjąć kilka lat?

Tak, pod warunkiem że są wykonywane rozsądnie i we właściwym momencie. Dobrym przykładem jest toksyna botulinowa, która bardzo dobrze redukuje zmarszczki mimiczne – na czole, między brwiami czy wokół oczu. Najlepsze efekty daje jednak wtedy, gdy jest elementem profilaktyki, a nie próbą odwrócenia wielu lat zaniedbań. Medycyna estetyczna może znacząco poprawić wygląd, ale nie cofnie biologicznego czasu.

Kiedy rozmawiamy o starzeniu, trudno uciec od emocji. Mam 48 lat i coraz częściej myślę o tym, że zbliżam się do pięćdziesiątki. To chyba pierwszy moment w życiu, kiedy naprawdę zaczynam odczuwać upływ czasu. Najbardziej obawiam się chwili, w której przestanę rozpoznawać siebie w lustrze. W środku wciąż czuję się tą samą osobą, ale twarz zaczyna opowiadać już inną historię.

Bardzo często słyszę takie refleksje od kobiet. Myślę, że większość z nas nie odczuwa wieku tak bardzo wewnętrznie, jak widzi go w swoim odbiciu. To właśnie zmiany w wyglądzie przypominają nam o upływie czasu i nie zawsze łatwo je zaakceptować. Jednocześnie zauważam, że dojrzałe kobiety coraz częściej przestają definiować siebie wyłącznie przez pryzmat wyglądu. Są bardziej świadome, odważniejsze i lepiej wiedzą, czego chcą. Zakładają firmy, realizują marzenia, podróżują i podejmują decyzje, na które wcześniej nie miały odwagi. Paradoksalnie właśnie ta pewność siebie sprawia, że wiele z nich odbieranych jest jako bardziej atrakcyjne niż wtedy, gdy miały dwadzieścia kilka lat.

Media społecznościowe nie ułatwiają zaakceptowania zmian.

To prawda. Każdego dnia oglądamy setki idealnych zdjęć – wyretuszowanych lub wygenerowanych przez sztuczną inteligencję. Łatwo uwierzyć, że tak powinno wyglądać starzenie, choć w rzeczywistości jest to obraz całkowicie oderwany od życia. Na szczęście obserwuję też pozytywną zmianę. Coraz więcej osób nie oczekuje spektakularnej metamorfozy. Chcą wyglądać świeżo, zdrowo i naturalnie. To kierunek, który bardzo popieram.

W przestrzeni publicznej często pojawia się określenie „starzeć się z godnością". Co pani o nim myśli?

Mam z nim pewien problem, bo sugeruje, że korzystanie z metod wspierających wygląd lub jakość skóry mogłoby pozostawać w sprzeczności z godnością, a trudno znaleźć dla takiego założenia racjonalne uzasadnienie. Dbanie o siebie, niezależnie od tego, czy ogranicza się do zdrowego stylu życia i pielęgnacji, czy obejmuje również zabiegi z zakresu medycyny estetycznej, jest indywidualnym wyborem i nie powinno podlegać moralnej ocenie. Każdy ma prawo decydować o swoim wyglądzie i o tym, co sprawia, że czuje się dobrze we własnej skórze.

Czyli najważniejsze to nie próbować zatrzymać czasu za wszelką cenę, ale dobrze przeżyć każdy jego etap.

Dokładnie. Dbajmy o siebie, jeśli tego potrzebujemy, nie oceniajmy wyborów innych i pamiętajmy, że atrakcyjność nie kończy się wraz z kolejnymi urodzinami. Często właśnie z wiekiem stajemy się najbardziej autentyczną wersją siebie. ©℗

eprasa.pl c83acda8be

GWIAZDA TYGODNIA

Mery Spolsky: Miłość to wojna, nawet kiedy się jest w szczęśliwym związku

To jedna z najbardziej barwnych postaci polskiej sceny muzycznej. Właśnie premierę miał jej kandydat na przebój tego lata – utwór „Tajlandia". Nam opowiada o swych wymarzonych wakacjach, zmianie sylwetki, patriotyzmie i miłości

Paweł Gzyl

„Tajlandia" to twój kolejny „letniaczek" po „Santorini" sprzed dwóch lat. Skąd u ciebie ten apetyt na przebój lata?

Jako mała dziewczynka zawsze nasłuchiwałam, co moje idolki i idole wypuszczą na wakacje. Wiedziałam, że będzie to coś niezobowiązującego i nie zapowiadającego ich nową płytę, tylko typowa letnia niespodzianka. Zresztą tak jest i teraz: moja aktualna idolka Rosalía też raz na dwa lata raczy swych fanów wakacyjną piosenką. Ostatnio była to „Despecha", która poniosła się na cały świat. I „Tajlandia" też ma taka być – zupełnie nic nie zapowiada, to prezent na lato 2026. A jeżeli ktoś wybiera się akurat do Tajlandii, niech to będzie dla niego piosenka tego wyjazdu. Bo akurat ja bardzo lubię, wyjeżdżając do jakiegoś kraju, zapętlać sobie utwory, które są mu poświęcone.

A dlaczego akurat Tajlandia?

To jeszcze nieodkryty przeze mnie teren. Azja mnie generalnie bardzo kręci. Miałam okazję być tylko cztery dni w Tokio. To była moja jedyna azjatycka przygoda. A jestem bardzo ciekawa tamtej kultury. Wszyscy moi muzyczni znajomi mieli już okazję odwiedzić Tajlandię i opowiadają, że jest tam wyjątkowy luz, wspaniała kuchnia, ciepły klimat. Chciałabym więc też tego wszystkiego doświadczyć. Może kiedyś będzie mi to dane.

W piosence śpiewasz „Żadnych kłopotów/ Żadnych idiotów". To twój przepis na idealne wakacje?

To moje motto na lato. Żeby się niczym za bardzo nie przejmować, bo zaraz będzie jesień, dni zrobią się krótsze i wtedy więcej czarnych myśli będzie nam przychodzić do głowy. Tak sobie właśnie wyobrażam ten wyjazd do Tajlandii: pakuję się do podręcznego plecaka, wrzucam dwa T-shirty, zakładam wygodne buty, nic nie siedzi mi w głowie. Lecę na miesiąc, nie rezerwuję żadnych hoteli, z dnia na dzień wmyślam, co i jak. I zabieram ze sobą kogoś, kogo lubię, żadnych idiotów. (śmiech)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Mery Spolsky: Jedni są wystraszeni, czy aby nie jestem jakimś patriotycznym kibolem, a inni – zdziwieni

Klip do „Tajlandii" powstał na Mazurach. Czy to znaczy, że aby zaliczyć udane wakacje, nie trzeba lecieć na drugi koniec świata?

Już dwa lata temu, promując piosenkę „Santorini", mówiłam, że choć wybierzemy się na wymarzony wypad, to nie znaczy, iż będą to najlepsze wakacje w naszym życiu. Równie dobrze można spędzić całe lato w mieście, na wsi, w górach, nad morzem lub na Mazurach – i też będzie pięknie i magicznie. Oczywiście jest w nas coś, że wydaje się nam, iż te egzotyczne kraje to definicja najwspanialszych wakacji. Tymczasem my pojechaliśmy nad polskie jezioro i kręcąc ten klip, mieliśmy tak dobry dzień, że szkoda nam było wracać i chętnie byśmy tam dłużej zostały.

Zaprezentowałaś w tym teledysku swoją nową sylwetkę. Co pomogło ci schudnąć 10 kilo: sport czy dieta?

Generalnie bardzo lubię się rozbierać i eksperymentować z modą odsłaniającą ciało. Dwa lata temu zmieniłam jednak swoje podejście do ruchu i wysiłku fizycznego. Zaczęłam regularnie uprawiać sport i zauważyłam, że dobrze wpływa to na moją kondycję na koncertach. Jestem już po trzydziestce i pomyślałam: „Kiedy, jak nie teraz spróbować poprawić swoją formę?". Tak też się stało – i moim sposobem na to okazała się siłownia połączona z pilatesem na reformerach. Akurat mam możliwość takich ćwiczeń blisko domu, więc rozkochałam się w nich. Moi znajomi śmieją się, że pilates stał się teraz modny, dlatego wszyscy na niego chodzą. Mnie się jednak naprawdę spodobał – i kiedy połączyłam go z dietą, w efekcie schudłam 10 kilo. Nie mam tu na myśli oczywiście głodzenia się, tylko przeprogramowanie głowy, które sprawia, że po koncercie nie sięgam po chipsy czy inne puste kalorie, ale po jogurt, który ma dużo białka. To małe zmiany, które dużo dają.

Ponoć to twój chłopak Mateusz Golis zmobilizował cię do regularnego uprawiania sportu. Jak to się stało?

Mateusz ma mental sportowca. Kiedy się poznaliśmy, dużo opowiadał mi, jak za młodu trenował szermierkę, startował w zawodach i jeździł na obozy sportowe. Zafascynowało mnie to, że ktoś może podchodzić do tego tematu z taką dyscypliną. Mateusz teraz jest filmowcem, razem robimy klipy, również ten do „Tajlandii", stworzyliśmy więc na siebie wspólny pomysł wizualny. Znaleźliśmy też dodatkowo sposób na to, jak się razem wyluzować – pójść na rower czy pobiegać, a nie na melanż, jak kiedyś oboje mieliśmy w nawyku. (śmiech) To nie znaczy, że jesteśmy jakimiś nudziarzami. Po prostu staramy się, aby lepiej się nam żyło.

Na płycie „Erotik Era" nawoływałaś, żeby akceptować swoje ciało takie, jakie się ma. A jednak postarałaś się schudnąć. Nie ma w tym sprzeczności?

Nadal twierdzę, że trzeba akceptować swoje ciało takim, jakie ono jest. Teraz, kiedy patrzę na siebie, oczywiście nadal mam mnóstwo różnych „ale". To, że schudłam, wcale nie znaczy, że nie ma już we mnie rzeczy, które mi nie pasują. Dlatego motto „Erotik Ery" nadal zostaje ze mną. Zresztą chyba każdy ma coś takiego, na co się uprze, że mu w sobie nie pasuje. Inni w ogóle tego nie zauważają, a jemu to nieustannie psuje humor. Zmieniłam sylwetkę – ale nie wypieram się tego, co mówiłam o akceptacji swego ciała. Zmieniło się tylko w moim życiu to, że polubiłam sport, bo zaobserwowałam pozytywne efekty jego uprawiania. I wszystkich do tego namawiam, bo wtedy głowa jest trochę lżejsza. Czas „Erotik Ery" to był dla mnie trudny czas samotności. Dlatego ważne było, abym mogła sobie wtedy powiedzieć: „Zaakceptuj siebie taką, jaka jesteś".

Teraz pewnie wszystkie twoje kostiumy sceniczne z tamtego okresu są na ciebie za obszerne. Co z nimi zrobisz?

W większości były to gorsety, więc bez problemu można je mocniej związać. (śmiech) Generalnie lubię magazynować wszystkie kostiumy z teledysków i tras koncertowych. I dobrze – bo co jakiś czas ktoś się zgłasza, kto chce zrobić reportaż o moich strojach. Wtedy robię wystawkę na magazynach. Ostatnio tak się stało na potrzeby telewizyjnego programu i było to dla mnie wzruszające, kiedy mogłam przejść od manekina do manekina i powiedzieć: „Patrzcie, to Mery Spolsky za czasów „Dekalogu", a to Mery za czasów „Erotik Ery".

Swoją premierę miał niedawno twój nowy projekt z piosenkami nowofalowych zespołów Kontrola W. i Ko-

eprasa.pl c83acda8be

smetyki Mrs Pinki z połowy lat 80. Jak narodził się ten pomysł?

To coś zupełnie innego i niszowego. Ten projekt sam do mnie zapukał i przypomniał mi, gdzie są moje korzenie. Bo zaczynałam w rockowych zespołach, kochałam zawsze alternatywę, dopiero z czasem zaczęłam eksperymentować z elektroniką i popem. Rok temu do mojej menedżerki zgłosił się Dom Kultury ze Zduńskiej Woli z zapytaniem, czy nie podjęlibyśmy się próby opracowania na nowo piosenek zespołu Kontrola W., który działał w tym mieście ponad cztery dekady temu. To była fajna grupa – i oni chcieliby o niej przypomnieć. Posłuchałam tych nagrań i od razu coś kliknęło. Zaczęliśmy więc z chłopakami je przemielać przez nasze głowy aż wyszedł z tego cały program. Tak nam dobrze się to gra, że planuję na jesieni skoncentrować się na tym projekcie i trochę odejść od popu.

Te piosenki powstały ponad 40 lat temu w realiach PRL-u. Co znajdzie w nich współczesny słuchacz?

To dla mnie niesamowite, ale teksty tych utworów są bardzo aktualne. Weźmy pierwszy numer, który wydaliśmy – „Manekiny". Dla mnie to piosenka o współczesnym świecie. Po pierwsze opowiada o wszechobecnym skupianiu się na wyglądzie, dążeniu do nieosiągalnego ideału piękna, o instagramowych trendach. Kiedy śpiewam „Manekiny, manekiny/ Z uśmiechami cynicznymi/ Szklanookie, doskonałe", to jest totalnie o tym, że teraz wszyscy udajemy, chcemy być perfekcyjni w social mediach, a tak naprawdę, kiedy spoglądamy w domu w lustro, to bywa różnie. Po drugie od razu z tego tekstu wali do mnie konsumpcjonizm: „Za szybami sklepowymi/ Wciąż posłuszne i poprawne". To o tym, że dzisiejsze czasy są bardzo plastikowe, zalane oglądaniem, kupowaniem, zamawianiem. Niby więc te 40 lat temu było trochę inaczej, ale ta frustracja, która bije z tego tekstu, jest nadal aktualna.

Nie używasz do grania tych piosenek komputerów. Jak ci się wykonuje w pełni „żywą" muzykę?

Kiedy zaczynałam swą karierę, byłam sama na scenie z gitarą i komputerem. Teraz gram piosenki Kontroli W. z trzema muzykami na żywo, tak, jak przystało na rockową kapelę. Akurat tutaj nie pasuje nam, by wspomagać się komputerem czy samplami. Jak przystało na punkową muzykę, olewamy metronom, gramy na czuja – i jest to bardzo wyzwalające. Chłopaki też to lubią, bo mam wrażenie, że po dwóch koncertach, które daliśmy z tym materiałem, mieli bardzo ucieszone miny. Chyba dobrze się czują w tym repertuarze.

No właśnie: zagraliście dwa ważne koncerty – w Zduńskiej Woli i w Jarocinie. Jak było?

Zduńska Wola była stresem, bo graliśmy ten repertuar pierwszy raz, a do tego dowiedzieliśmy się dzień przed występem, że przyjdą nas posłuchać liderzy Kontroli W. – rodzeństwo Katarzyna i Dariusz Kuldowie. Zastanawialiśmy się więc, co powiedzą na nasze interpretacje ich piosenek. I okazało się, że było to dla nich wzruszające: nawet uronili przysłowiową łzę, wracając do tamtych czasów, kiedy sami grali i śpiewali. W Jarocinie byliśmy już bardziej zgrani i pewni siebie. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że Mery Spolsky niespecjalnie kojarzy się z tym festiwalem i wiedzieliśmy, że są skrajne opinie na ten temat. Dlatego ucieszyło mnie, że przy drugim numerze ludzie zaczęli przychodzić pod scenę – dali nam szansę i zostali do końca.

Dostaniemy ten program na płycie?

Tak. Zarejestrowałam już wszystkie wokale do kolejnych piosenek. A że projekt jest punkowy – nie chcę podchodzić do tego marketingowo. Kiedy więc to wypuszczę, to wypuszczę.

Do muzyki z lat 80. odwoływały się już twoje piosenki z płyty „Kocham Polskę". To zasługa jej producenta – Michała „Foxa" Króla?

Chyba nam się tak wspólnie połączyły energie. Słuchaliśmy bowiem z Michałem dużo Siekiery i płyty „Nowa Aleksandria". Na tej podstawie powstała piosenka „Szaraki". I może właśnie za sprawą tego utworu odezwano się do nas ze Zduńskiej Woli? Bo te „Szaraki" są w stylu Kontroli W. Zresztą zagraliśmy ten utwór na koniec koncertu w Zduńskiej Woli, wyjaśniając, że nasza fascynacja tym zespołem nie wzięła się znikąd. Bo to pod względem brzmieniowym piosenka jakby z tamtego repertuaru. „Fox" podrzucił mi więc nowy klimat.

Co sprawiło, że postanowiłaś poruszyć na „Kocham Polskę" temat patriotyzmu?

Z moich obserwacji wynika, że młodzi ludzie postrzegają patriotyzm bardzo negatywnie. Większość moich znajomych, kiedy o kimś mówi się „patriota", odbiera to bardzo skrajnie, jakby mówiło się o kimś, kto ma tendencje do agresywnego wyrażania swych opinii, o jakimś narodowcu czy kibolu. „Co by było, gdyby spróbować podejść do tego od innej strony?" – pomyślałam więc. Nie tak politycznie i poważnie, tylko zwyczajnie, po ludzku. Bo przecież mieszkam w Polsce, tu się wychowałam i lubię nasze tradycje. Tym bardziej że mój pseudonim jest o tym, że działam i piszę właśnie tutaj. No i wywołałam kontrowersje. Nawet kiedy ludzie widzą orzełka na mojej płycie lub na moim ramieniu, bo sobie go wytatuowałam na pamiątkę, to widzę u nich skrajne emocje. Jedni są wystraszeni, czy aby nie jestem jakimś patriotycznym kibolem, a inni – zdziwieni i urażeni.

Wiele osób z twojego pokolenia zachłysnęło się Zachodem. Ty nie myślałaś, żeby wyjechać z Polski za granicę?

Sto razy miałam taki moment. Nawet życie samo mnie do tego pchało, bo dwie moje najbliższe przyjaciółki wyprowadziły się do Londynu. Z kolei po moim liceum miałam możliwość jechać studiować do Berlina. Coś mnie jednak tu trzymało. Przede wszystkim polskie piosenki – bo chciałam tu śpiewać, tu pisać teksty i książki. Nie pojechałam więc i chyba już nigdy nie wyprowadzę się gdzieś na Zachód. Ale nie ukrywam, że jestem zafascynowana tym, co nazywamy „american dream". Bo przecież całe dzieciństwo marzyłam o Hollywood, gdzie była Madonna czy Britney Spears. Dzisiaj mówię sobie jednak: „OK, to jest inspirujący świat, ale kocham Polskę i się jej nie wstydzę".

Dwa kluczowe utwory na płycie to „Kocham Polskę" i „Wkurza mnie". Za co kochasz Polskę, a co cię w niej wkurza?

Szczerze kocham Polskę za tradycje, za kuchnię, za nasz mental narodowy, który mnie stworzył. Bo z jednej strony czuję, że mam w sobie dużo skromności i poprawności, wręcz kościelnej, choć jestem niewierząca, nigdy nie chcę nikogo urazić i momentami wręcz przepraszam za to, że żyję. A z drugiej – chcę być hej do przodu i idę śmiało po swoje marzenia. Kocham te skrajności: jesteśmy takim przepraszającym narodem, ale kiedy ktoś będzie coś złego mówił na Lewandowskiego, to potrafimy się zjednoczyć i stanąć za nim murem. To samo każdy, choć nawet jest niewierzący, będzie dumny z Jana Pawła II.

A co cię wkurza?

Podziały. Brak zaufania i szacunku dla osób, które są z innej planety. Kiedy wypowiem się na jakiś polityczny czy religijny temat, to od razu jestem ostro oceniana i wrzucana do jakiegoś wora, a to zniechęca niektórych ludzi, by poznać moją muzykę. Wkurza mnie to, że tak często lubimy się zacietrzewiać. Jesteśmy bardzo podzieleni, a są chwile, kiedy okazuje się, że choć mamy odmienne poglądy, to jesteśmy sobie równi, tylko trzeba się dogadać. Nienawidzę też naszej pogody – mamy lipiec, a ciągle pada.

W piosence „Marysia Kowalska" śpiewasz o przeciętnej Polce. Każdy artysta zazwyczaj uważa się kogoś wyjątkowego. A ile jest w tobie takiej przeciętnej Polki?

To mit, że kiedy ktoś pokaże się w telewizji, to jest kimś idealnym, ponad tłumem, jakimś nadczłowiekiem. Przecież ja też stoję w kolejce w Biedronce i zbieram kupony na promocje. Dlatego podkreślam w tej piosence, że wszyscy jesteśmy Kowalskimi, bez względu na to, gdzie kto pracuje i jaki ma status społeczny. Codzienne sprawy dotyczą nas wszystkich. I to mnie trochę uspokaja, bo dzięki temu nie czuję się taka samotna, tylko wiem, że tak naprawdę z każdym mogę złapać wspólny lot. A kiedy nie ma naprawdę o czym gadać, to narzeka się na remonty. Jeżdżę po Polsce, więc coś o tym wiem. (śmiech)

Jest tu też utwór „Nie ma już PL", w którym wspominasz dawne lata – świat trzepaków i kiosków Ruchu. Wkraczasz w taki wiek, że zaczynasz odczuwać nostalgię za czasami swej młodości?

Uwielbiam takie strony w internecie, które przypominają dawne gazety, gry czy urządzenia, takie, jak discmany. Wtedy robi mi się nostalgicznie, bo uświadamiam sobie, że to świat, którego już nie ma. A przecież to wtedy wszystko było pierwsze i najfajniejsze w życiu człowieka. Jestem więc już w takim wieku, kiedy zerkam na takie rzeczy z łezką w oku i tęsknię za nimi.

Śpiewasz na tej płycie również o relacjach damsko-męskich. W takich piosenkach, jak „PRL", „Pałac" czy „Wojna" metaforyka, którą stosujesz przypomina tę, którą stosował niegdyś Grzegorz Ciechowski. Inspirowałaś się jego tekstami?

Bardzo. Jestem jego fanką od wielu lat. Już przy mojej pierwszej płycie stosowałam czarno-białe paski, tłumacząc, że to takie mrugnięcie okiem do Republiki. Jestem zakręcona na punkcie Ciechowskiego do tego stopnia, że miałam okazję zagrać w wielu projektach coverujących jego piosenki, nawet z samym Leszkiem Biolikiem, który był w ostatnim składzie Republiki. Dla takiej fanki jak ja, to było prawdziwe „wow". Najbardziej fascynuje mnie, że Ciechowski potrafił tak zgrabnie połączyć erotykę z polityką. Dzięki temu piosenka nie była ciężka, ale chciało się w nią wejść głębiej, bo była o czymś. Tak starałam się napisać „Wojnę" na „Kocham Polskę".

W „Wojnie" miłość to pole bitwy – a ty od kilku lat jesteś przecież w stabilnym związku. Inspirowałaś się swoim wcześniejszymi relacjami?

Generalnie myślę, że miłość to wojna, nawet kiedy się jest w szczęśliwym związku. Zawsze towarzyszą temu takie emocje, jakby się toczyło bitwę o życie. I to jest piękne. Wtedy jest miłość, kiedy właśnie odczuwa się takie emocje.

Co sprawiło, że akurat u boku Mateusza znalazłaś spokój i szczęście?

Gdyby była na to jednoznaczna odpowiedź, pewnie każdy z nas by od razu znajdował ten udany związek. Myślę, że to jak z muzyką – nigdy nie wiesz, która piosenka, którą napiszesz, chwyci za serce i stanie się przebojem. Może ci się wydawać, że stworzyłeś hit życia, po czym kończy się fiaskiem. A kiedy się zupełnie tego nie spodziewasz – masz przebój. Tak było też z nami: wpadły na siebie dwie osoby, które miały podobne marzenia. Artystyczne i nie tylko. Uspokaja mnie to, że taką miłość można znaleźć w każdym wieku. Nie jest więc tak, że zawsze dzieje się to od razu. Można i po trzydziestce – i jest super.

To, że oboje jesteście artystami o silnych osobowościach nie sprawia, że czasem między wami iskrzy?

Gdybyśmy oboje działali w muzycznej branży, można by się czegoś takiego obawiać. My mamy ten luksus, że choć oboje funkcjonujemy w świecie artystycznym, to na dwóch różnych biegunach. Dzięki temu uzupełniamy się. Mateusz nie zna się na muzyce w sensie zawodowym, a ja na filmie czy fotografii. Dzięki temu bardziej się od siebie uczymy, niż ze sobą konkurujemy. Tak mi się wydaje.

Jakie będzie kolejne wcielenie Mery Spolsky?

To będzie nowa książka. Właściwie kończę ją już pisać. Kiedy zostanie wydana, siądę z oczyszczoną głową nad kolejną płytą. Mam jednak już dosyć concept-albumów poświęconych konkretnej tematyce. Myślę więc, że ta przerwa, którą planuję, sprawi, że powstanie coś z zupełnie innej beczki.

Będziesz prezentować tę nową książkę podczas występów w klubach, jak było to w przypadku twej pierwszej powieści?

Myślę, że nie. Chciałabym, aby była to lekka książka o zupełnie innej tematyce. Nie będę do niej robić live s, bo obawiam się, że nie dałabym rady połączyć ich z występami tego punkowego projektu. Chociaż, kiedy ukazała się moja pierwsza książka, też nie było początkowo oczywiste, że rozrośnie się to do wyjazdowych występów. Jak więc mawiają: nigdy nie mów nigdy.

eprasa.pl c83acda8be

HISTORIA

Bardziej rozważna czy bardziej romantyczna? Jaka naprawdę była Jane Austen?

Susanna była miłą dziewczyną, jednak nie do porównania z Cass. Jane odrzuciła kołdrę. Na Boga, jak zimno! Trzęsąc się jak galareta i pomstując pod nosem, znów opatuliła się pierzyną - pisze Catherine Bell, autorka, w beletryzowanej biografii Jane Austen

Dzisiejszy dzień nie był jednak zwykłym dniem i na tym właśnie polegało nieszczęście. Jane mogła się wydzierać do woli, a i tak nie zbudziłaby Cass. Ta bowiem przebywała w oddalonym o całe mile Kintbury. I to nie z byle jaką wizytą, lecz by spędzić święta u przyszłych teściów – co oznaczało, że Cass wychodziła za mąż – i to była naprawdę okropna myśl. W końcu od zawsze dzieliły pokój. Od blisko dwudziestu lat. A teraz wszystko miało się zmienić.

W mroku poranka pokój wydawał się zbyt wielki i nieprzytulny. Jane westchnęła. Jej nastrój pogarszała jeszcze jedna sprawa: Susanna, pokojówka, i tak by nie przyszła, by zasłać ich łóżka i zasznurować im gorsety. Aby móc dobrze zająć się Austenami w czasie nadchodzących świąt, ta dobra duszyczka cieszyła się wcześniejszym urlopem świątecznym u swojej matki w Basingstoke. Bezdyskusyjnie zasłużyła sobie na kilka dni wytchnienia z dala od plebanii, jednak w tym momencie Jane tęskniła za nią prawie tak samo mocno jak za siostrą.

Co oczywiście, zdroworozsądkowo patrząc, było kompletnym nonsensem. Susanna była miłą dziewczyną, jednak nie do porównania z Cass. Jane odrzuciła kołdrę. Na Boga, jak zimno! Trzęsąc się jak galareta i pomstując pod nosem, znów opatuliła się pierzyną. To żadną miarą nie było przyjemnym sposobem na rozpoczęcie nowego dnia.

Zaraz zbierze wszystkie siły, wznieci żądzę czynów i własnymi rękami rozpali w kominku. A potem przez cały poranek ani razu nie pomyśli ani o Susannie, ani o Cass, lecz będzie się cieszyła myślą o świętach, odwiedzi Aletheę i wysłucha wiejskich ploteczek. Nikt nie był lepiej poinformowany od jej przyjaciółki – i to pomimo tego, że jej dom był znacznie bardziej oddalony od Steventon niż plebania, na której mieszkała Jane. Sama Jane wprawdzie ochoczo plotkowała, jednak z trudem zapamiętywała mnogość szczegółów na temat innych osób. Fakty często mieszały się jej z wytworami własnej fantazji. Choć było to praktyczne z punktu widzenia pisarki, to nie udawało się jej w ten sposób sprostać wymaganiom Alethei, która chciała, by jej opowieści zawierały choć śladowe ilości prawdy.

Zacisnęła powieki, policzyła szeptem do trzech, po czym odrzuciła kołdrę i zerwała się z łóżka. By nie dotykać obiema stopami podłogi, doskoczyła na jednej nodze do kominka. Po drodze chwyciła wiszący na krześle wełniany szal, który trzykrotnie owinęła sobie wokół szyi i naciągnęła na ramiona, po czym chwyciła puszkę z przyborami do krzesania ognia, która zresztą za chwilę wypadła jej ze zdrętwiałych z zimna rąk. Chyba rozsądniej byłoby się najpierw ubrać. Trzy pary skarpetek, długie pończochy, halka, suknia wierzchnia i na koniec wełniana suknia dzienna. Ponownie wzięła do ręki puszkę i próbując opanować dygotanie, w końcu zdołała rozpalić ogień – lichy, bo lichy, ale zawsze coś.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jane Austen, portert namalowany przez jej siostrę Cassandrę. To jedyny istniejący portret znanej pisarki angielskiej

Jane chuchnęła w dłonie, jeszcze mocniej opatuliła się szalem, po czym zapaliła dwie świeczki i zasiadła do pulpitu. Wyciągnęła kałamarz, pióro i stos kartek, do których każdego dnia dołączały kolejne zapisane stronice, i spróbowała zebrać się w sobie. Pewnego dnia minionego lata oczyma wyobraźni Jane zobaczyła Elinor i Marianne Dashwood, dwie jeszcze nieco rozmyte postacie, które od tamtej pory zyskiwały coraz wyraźniejsze kontury. Sprawiająca wraże nie nad wyraz wyniosłej w swojej surowości i chłodzie intelektualnym Elinor oraz zbyt dzika i temperamentna jak na damę Marianne. Jane wprost uwielbiała obie wymyślone siostry, a gdy zaczynała o nich pisać, świat za podzielonym szprosami oknem znikał, bledła też plebania wraz ze wszystkimi jej mieszkańcami: rodzicami i Cass, służbą, a także gośćmi, czyli starszym bratem Jane – Jamesem, i małą Anną. Ustaliła już w przybliżeniu, jak ma się toczyć akcja powieści, i to na razie musiało wystarczyć. Jane lubiła pisać spontanicznie, jednak nie w sposób nieprzemyślany. Potrzebowała poręczy, której mogła się trzymać, pewnej linii wiodącej ją przez całą historię. Bez niej zbyt często zbaczałaby ze ścieżki. A to nie byłoby nic dobrego, tak się nie budowało napięcia. Jednocześnie Jane wiedziała, że kreatywność również potrzebuje swobody. Kilka razy próbowała zacząć od opracowania dokładnego przebiegu zdarzeń. Spisała wszystkie sceny, po czym opatrzyła je starannymi strzałkami i licznymi notatkami. Jednak po kilku podejściach, z których każde okazało się równie nieudane, wrzuciła projekt do kominka. Potrzebowała złotego środka: musiała wiedzieć, dokąd zmierza, jednak drobne odstępstwa od zasadniczej ścieżki były mile widziane, a pewne modyfikacje dozwolone.

Jane zanurzyła pióro w kałamarzu i zawahała się. Niestety zdarzały się dni takie jak dzisiejszy i dni takie jak wczorajszy, kiedy to, co przelała na papier, mimo całej swobody działania nie wydawało się świeże, lecz mdłe, ciężkie i bez polotu. Jej myśli nie tańczyły, a słowa nie płynęły wartko – każde z nich przychodziło z wysiłkiem. I te błędy! Nie mogła się skupić, to musiało być powodem kolejnych porażek, choć przecież miała luksus pisania w absolutnej ciszy. Bez ziewającej, przewracającej się z boku na bok Cass; bez pokasłujących czy odchrząkujących rodziców, bez ich tupania na schodach – na to była jeszcze zbyt wczesna pora. Także chłopcy mieszkający na plebanii z racji tego, że ojciec Jane – nie tylko duchowny, ale i dyrektor szkoły – uczył ich i zapewniał im dach nad głową, spędzali wolne dni w swoich domach.

Prześlizgnęła się wzrokiem po charakterystyce sióstr Dashwood i zatrzymała na imieniu Elinor, zapisanym bardziej jako wskazówka dla niej samej niż dla czytelników. Wciąż szukała sposobu na odpowiednio eleganckie umieszczenie w tekście – mającym być powieścią epistolarną – informacji, że najstarsza, której wstawiennictwo wywarło taki skutek, obdarzona była zdolnością spokojnego rozumowania i chłodnego osądu, które to cechy, choć miała zaledwie dziewiętnaście lat, pozwalały jej być doradczynią matki i powściągać – ku pożytkowi wszystkich czterech pań – matczyną popędliwość, wiodącą na ogół do nierozważnych postępków. Była to panna obdarzona najzacniejszym sercem – usposobienie miała czułe, a uczucia silne, umiała jednak nad nimi panować. Tej umiejętności nie nabyła jeszcze jej matka, jedna z sióstr zaś postanowiła nie nabywać nigdy.

Zalety Marianne dorównywały pod wieloma względami zaletom starszej siostry. Była wrażliwa i inteligentna, lecz we wszystkim nadmiernie popędliwa – jej smutki i radości nie znały umiarkowania. Była osobą wielkoduszną, miłą, interesującą, brakowało jej jedynie roztropności.

Gdyby tylko Jane była nieco bardziej roztropna, zrównoważona! Wówczas nie przeszkadzałoby jej siedzenie przy biurku i oczekiwanie na wenę twórczą. Niestety, dziś ogarniało ją zniecierpliwienie. Podniosła wzrok i spojrzała na bieloną wapnem ścianę w ledwie widocznym odcieniu błękitu. Czuła wewnętrzny opór. Z doświadczenia wiedziała, że lepiej byłoby dać sobie spokój – pisanie na siłę przypominało próbę wybuchnięcia śmiechem w gniewie. Efekt będzie nieprzekonujący, a zapisane kartki prędzej czy później i tak spłoną w kominku.

Nieco zmartwiona, ale jednocześnie pocieszona myślą o śniadaniu z Aletheą, zamknęła klapę pulpitu. Na chwilę zastygła z dłońmi na gładkim mahoniu mebla, po czym wstała, przekonując samą siebie, że kreatywności nie da się wymusić. Zrzuciła zwykłą suknię, by przebrać się w coś bardziej wyjściowego. Idąc do Manydown Hall, powinna za dbać przynajmniej o minimum elegancji; jedynie toporne drewniane chodaki będą sprawiać wieśniacze wrażenie – ale cóż mogła poradzić na to, że jej ojciec nie posiadał powozu? W gruncie rzeczy jednak ta okoliczność nie przyprawiała Jane o ból głowy. Uwielbiała spacerować i nie zważała przy tym na kaprysy pogody. Przy wietrze i upale, deszczu i gradzie Jane maszerowała cztery mile do przyjaciółki do Basingstoke i z powrotem; raz nawet odważyła się na taką eskapadę w nocy, choć niezupełnie bez obaw.

Jej wzrok znowu prześlizgnął się po łóżku Cassandry i zatrzymał się na ustawionych na gzymsie kominka akwarelach, które wyszły spod pędzla Cass, a przedstawiały Jane. Jane w bufiastej sukience, Jane odpoczywającą na łące, Jane na brzegu jeziora. Ponieważ nadawanie żywego wyrazu twarzom sprawiało Cass trudność, zawsze malowała siostrę od tyłu. Gdyby na podstawie tych malunków ktoś obcy miałby wyciągnąć wnioski na temat wyglądu Jane, z pewnością założyłby, że musi być brzydka jak noc.

Co jednak – jak sądziła – nie było prawdą. Lubiła swoją świeżą cerę, błyszczące ciemnobrązowe oczy i ciemne włosy, które – gdy zadała sobie nieco trudu – okalały jej twarz łagodnymi falami. À propos świeżej cery: pora na krótką toaletę. Woda w misce okazała się lodowata, gdy Jane zanurzyła w niej twarz. Zaczerpnęła nieco różanego kremu, który sporządziła dla niej Martha i wklepała go sobie w skórę. Ruszyła żwawo schodami w dół i niestety dopiero na najniższym stopniu przyszło jej do głowy, że jeśli chce niepostrzeżenie wymknąć się z domu, musi zachowywać się cicho. Tak bezszelestnie, jak tylko potrafiła, prześlizgnęła się po drewnianej podłodze sieni, w której panowała ciemność, że oko wykol. Na chybił trafił odszukała płaszcz i kapelusz, kłując się przy okazji w palec gałązką ostrokrzewu, którą Cass zawiesiła w sieni przed wyjazdem – nikt inny z rodziny nie miał głowy do takich dekoracyjnych drobiazgów. Syknęła „Au!", po omacku dotarła do drzwi i właśnie je otwierała, gdy do jej uszu dobiegło człapanie matki.

– Jane? To ty?

– Tak, mamo, to ja. I już wychodzę.

– Myślałam, że mi pomożesz!

– Bo pomogę! Najpóźniej za trzy godziny będę z powrotem.

– Jak to za trzy godziny? Jane!

Ale Jane już była za furtką i w swoich masywnych drewniakach zmierzała do drogi biegnącej wzdłuż skraju lasu. Udało się! Przecież matka nie będzie jej gonić w szlafroku.

Książka

Catherine Bell
„Jane Austen. Miłość, która stała się literaturą", tłumaczenie: Magdalena Kaczmarek, wyd. Marginesy, Warszawa 2026, cena 59,90 zł

eprasa.pl c83acda8be

POD PARAGRAFEM

• **Pamiętajcie o Leonardzie Juniorze** Zbliża się rocznica śmierci Elmora Johna Leonarda (11 października 1925-20 sierpnia 2013), autora kryminałów i thrillerów. Zwany był „DickensemDetroit", ponieważ wielokrotnie opisywał mieszkańców tego miasta.

DWUDZIESTOLECIE

Wszystkie grzeszki prezydenta Ignacego Mościckiego

Jowita Łuczak, stanmajer

Zaczynał jako niedoszły terrorysta samobójca. Ale u szczytu kariery Ignacy Mościcki słynął raczej z kontrowersji obyczajowych. Oto niezbyt znana prawda o prezydencie II RP.

Choć trzeci prezydent przedwojennej Polski wydaje się postacią nobliwą i poważną, historycy wystawiają mu surowe świadectwo. Jak się okazuje – burzliwa młodość Ignacego Mościckiego przypominała wielkie pasmo porażek. Bawidamek, niepoprawny idealista i człowiek o zachwianej równowadze psychicznej wydawał się zupełnie nie radzić sobie z codzienną prozą życia. Szanowany naukowiec i wynalazca okazał się jednocześnie mężczyzną, który miał w głowie tykającą bombę z nitrogliceryną, szalony plan samobójczego zamachu na życie Josifa Hurko oraz słynął ze skandalicznych związków z kobietami.

Ignacy Mościcki przed mikrofonem radiowym 29 czerwca 1939 r. Przemówienie wygłosił z okazji „Dni Morza"

Żona i skandale

Michalina Czyżewska patrzyła jak w obrazek na starszego od siebie o cztery lata kuzyna Ignacego Mościckiego. Młody, zdolny mężczyzna „na wzór współczesnego powstańca" miał na nią silny wpływ i zachwycał ją pod każdym względem. Elegant Mościcki miał wobec niezbyt urodziwej damy konkretne zamiary, pragnął wziąć ją za żonę i wychować, sprytnie unikając szukania idealnej narzeczonej, która nie daj Boże okazałaby się idealistką z kręgów socjalistycznych.

„Bliskie pokrewieństwo i młody wiek kuzynki miały duże znaczenie w moim wyborze – mówił otwarcie. – Dzięki bowiem tym warunkom obiecywałem sobie mieć większy wpływ przy dalszym wychowywaniu swojej przyszłej małżonki. Pragnąłem ją jak najbardziej dostroić do mojej późniejszej działalności społecznej". 22 lutego 1892 r. doszło do skromnego ślubu, który co prawda nie wywołał dużego skandalu, ale za to u niejednego wzbudził niechęć.

Jak zmajstrować bombę

W głowie panny młodej prędko pojawiły się jednak wątpliwości, gdyż Mościcki zostawił swoją wybrankę w malutkim mieszkaniu w Warszawie, a sam zniknął (i to nie na krótko). W rzeczywistości spędził ten czas na podróżach po Europie w poszukiwaniu „dobrego przepisu na bombę". Jeszcze w latach studenckich Mościcki przystąpił do II Proletariatu, czyli radykalnej socjalistycznej organizacji, która w latach 90. została rozbita przez carskie władze. Ignacym i pozostałymi na wolności członkami partii kierowała chęć krwawej zemsty na zaborcy. Ich celem nie był jednak byle kto, lecz sam Josif Hurko – dowódca Warszawskiego Okręgu Wojskowego i warszawski generał gubernator. Zadanie skonstruowania bomby powierzono oczywiście zdolnemu chemikowi, który miał ostatecznie zostać prezydentem Polski.

Choć spisek przeciw jednemu z najważniejszych rosyjskich urzędników został wykryty, a wszyscy konspiratorzy zamachu zostali pod okiem władz, szalone działania Ignacego zapadły w pamięci całego narodu.

Ignacy rzeźbiarz

Wróćmy jednak do sytuacji, w jakiej odnaleźli się wówczas nowożeńcy. Ich świat został otoczony bańką mydlaną, a każdy ruch Mościckiego i jego żony był bacznie obserwowany. W tej sytuacji jedynym rozsądnym rozwiązaniem wydawała się ucieczka za granicę. Tak też uczynili.

Okazało się, że Mościcki zupełnie nie radzi sobie w życiu codziennym. „Ten bezkompromisowy idealista, który był dla niej życiowym drogowskazem, odkąd tylko nieco podrosła, na emigracji okazał się zwyczajnym nieudacznikiem. Nie był w stanie znaleźć sobie żadnej stałej pracy, choć imał się najdziwniejszych zawodów. Przez jakiś czas uczył się rzeźbienia w drzewie, ale praca szła mu zbyt wolno i wykonywał ją niedokładnie" – pisze Kamil Janicki.

Jak więc doszło do sytuacji, kiedy niezdolny do funkcjonowania naukowiec, nagle przejmuje najważniejszą w państwie funkcję prezydenta? Z szefów państwa polskiego w ciągu Dwudziestolecia najdłużej piastował to stanowisko właśnie Ignacy Mościcki, aż 13 lat (od 1 czerwca 1926 do końca września 1939 r.).

Jak Ludwik XV

Codzienne życie prezydenta II RP zmieniło go wprost nie do poznania. W czasach jego prezydentury w Polsce położono nacisk na reprezentację. W sierpniu 1926 r. utworzono specjalną kompanię zamkową, szczególnie starannie dobierano też wszystkich żołnierzy i oficerów, zwracając uwagę na ich kulturę osobistą.

Tuż po wyborach na siedzibę Mościckiego wyznaczono Zamek Królewski. Ten szybko przemienił Zamek Królewski w „królewską" siedzibę godną oficjalnych wizyt dyplomatów.

Henryk Comte wspomina prezydencką rezydencję tak: „W przeciwieństwie do belwederskiej ta miała wygląd oficjalnego gabinetu urządzonego z przepychem. Obok adiutantury – salonik różowy w stylu Ludwika XV".

Imprezka w Spale

Atmosfera panująca w domu prezydenta mogła przynieść niepokojące w skutkach zmiany, nie tylko u samego Mościckiego. Wyniosłość oraz żądza hołdów przybierała na sile. Na pierwszym miejscu w głowie „marionetki" Piłsudskiego były dorodne przyjęcia, na których pojawiali się najbardziej wpływowi politycy, naukowcy i sławy ze świata sztuki.

Poza zamkiem Ignacy Mościcki miłował także Spałę. Przekształcił to miejsce w karnawałowy bal dla gości. Goście byli wszędzie i zawsze, a Mościcki – jak wspominał ironicznie Comte – był wówczas w swoim żywiole. W Spale organizowano również polowania i coroczne dożynki. Odbyły się w 1928 r., kiedy to z Warszawy przyjechało 28 pociągów, a liczba gości przekroczyła 50 tys. osób.

Popularne przyjęcia, a zarazem „przepustki do wielkiego świata" miały jednak swoją cenę. Budżet prezydenta wzrósł o całe 135 proc. w porównaniu z okresem prezydentury Wojciechowskiego, a w roku 1930 wynosił blisko 4,5 mln zł. „Prasa opozycyjna przypominała, że utrzymanie prezydenta USA kosztuje podatników 3,8 mln zł, Niemiec 2 mln, a Francji zaledwie 1,3 mln. Ale jak tu się można dziwić, skoro prezydent Niemiec miał do swojej dyspozycji dwa samochody, a Mościcki aż dwadzieścia dwa!" – zauważa Sławomir Koper w „Życiu prywatnym elit drugiej RP".

Młodsza o 29 lat

Jesienią 1927 r. zmarł na tyfus syn Mościckich Franciszek. Śmierć ukochanego syna była bolesnym ciosem. Zaledwie dwa lata później życie przyniosło prezydenckiej rodzinie jeszcze jedną stratę – zmarł mąż ich córki inż. Zwisłocki. Choroba dopadła również Michalinę Mościcką. 18 sierpnia 1932 r. odeszła na zawsze, zostawiając prezydenta samego.

Prezydent i tym razem nie oparł się pokusie wywołania kolejnego skandalu. Gdy odeszła jego „pani serca", wdowiec szybko odnalazł pocieszenie. Okazała się nim młodsza o 29 lat od Mościckiego, była żona adiutanta, na dodatek – pracująca wcześniej jako sekretarka w kancelarii zmarłej prezydentowej Maria Dobrzańska.

„Nie mają szczęścia"

W Polsce zawrzało, o czym świadczą ironiczne słowa Mariana Romeyki: „W ślad za świeżymi jeszcze depeszami kondolencyjnymi z powodu śmierci dostojnej małżonki należało spieszyć się z wysłaniem panu prezydentowi depesz gratulacyjnych z okazji zawarcia nowego związku małżeńskiego". Z kolei Adam Ciołkosz, poseł na Sejm II i III kadencji, rzekomo miał powiedzieć na wiecu w Tarnowie w 1928 r., że w Warszawie krąży znane wszystkim powiedzenie: „Prezydenci RP nie mają szczęścia, ponieważ jednego zastrzelono jak psa, drugiego wypędzono jak psa, a trzeci słucha jak pies".

eprasa.pl c83acda8be

LEKKOATLETYKA

Kolebka muzyki heavy metal gotowa na przyjęcie „królowej sportu". Emocji mamy na cały tydzień

Paweł Wiśniewski

„Alexander Stadium" w dzielnicy Birmingham – Perry Barr, największy stadion lekkoatletyczny na Wyspach Brytyjskich, będzie gospodarzem 27. edycji mistrzostw Europy. Impreza rozpoczyna się dzisiaj i potrwa do najbliższej niedzieli .

Podobnie jak przed dwoma laty w Rzymie i tym razem European Athletics przyzna premie finansowe dla najlepszych zawodników. Łącznie to pół miliona euro.

Na wypłatę mogą liczyć sportowcy – po pięć dla pań i panów – którzy uzyskają najbardziej wartościowe wyniki.

Konkurencje zostały podzielone na pięć grup: sprinty i biegi przez płotki, biegi średnie i długie, rzuty, skoki oraz grupę obejmującą konkurencje uliczne, wieloboje i sztafety.

W każdej kategorii premię w wysokości 50 000 euro otrzyma zawodniczka lub zawodnik z najwyżej punktowanym rezultatem, przeliczonym według tabel World Athletics.

Czy po tzw. „Gold Crown", czyli „Złotą Koronę" będzie w stanie sięgnąć ktokolwiek z reprezentantów Polski?

– Wysyłamy naprawdę solidny zespół, który powalczy o jak najlepsze wyniki i medale – mówi prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki Sebastian Chmara. – Obok starych wyjadaczy mamy w kadrze też młode twarze. Liczymy zatem nie tylko na doświadczenie zawodników, ale też na świeże spojrzenie na tak dużą imprezę. Z tyłu głowy mam też fakt, że za dwa lata to my będziemy gospodarzem mistrzostw Europy. Młodzież niech zdobywa zatem szlify w Birmingham, aby w 2028 roku walczyć o laury w kolejnej edycji imprezy, na stadionie w Chorzowie.

W składzie reprezentacji Polski są prawie wszystkie największe gwiazdy, m.in. Natalia Bukowiecka, Pia Skrzyszowska, Anita Włodarczyk i Paweł Fajdek.

Wśród polskich szans medalowych są na pewno także Klaudia Kazimierska, skacząca wzwyż Maria Żodzik, chodziarka Katarzyna Zdziebło oraz sztafety 4x400 metrów kobiet i mieszana 4x400 metrów.

Wielkim nieobecnym będzie natomiast Piotr Lisek – trzykrotny medalista mistrzostw świata (srebro – 2017 plus dwa brązy – 2015 i 2019), rekordzista Polski w skoku o tyczce (6.02 m – 12 lipca 2019, Monako).

Na jednym z ostatnich treningów przed mistrzostwami Europy naderwał mięsień łydki . Będzie to pierwsza tej rangi impreza bez Liska od 2012 roku...

– Nie wyobrażam sobie pojechać tam po prostu na wycieczkę – stwierdził Lisek. – Chciałem jechać i walczyć o wysokie lokaty. Byłem na to gotowy.

Ostatni raz żadnego polskiego tyczkarza na mistrzostwach Europy nie wystawiliśmy w 2002 roku (w barwach Danii skakał wówczas Piotr Buciarski – syn Wojciecha Buciarskiego, wielkiego rywala Władysława Kozakiewicza i Tadeusza Ślusarskiego).

FOT. WOJTEK RADWANSKI/AFP/EAST NEWS

Bez wątpienia Natalia Bukowiecka powalczy w Birmingham o medal w biegu na 400 metrów. W końcu broni tytułu mistrzyni Europy

Dwa lata temu, na rzymskim „Stadio Olimpico", Polska wywalczyła sześć medali. Mistrzem Europy w rzucie młotem został wówczas Wojciech Nowicki – dzięki temu, Polska może wystawić w tej konkurencji w Birmingham aż czterech zawodników.

Dopiero po raz drugi w prawie 100-letniej historii mistrzostw Europy w zawodach weźmie udział kwartet młociarzy z jednego kraju. I podobnie jak w 2024 roku krajem tym będzie... Polska (Fajdek, Nowicki, Marcin Wrotyński i Dawid Piłat).

A eliminacje odbędą się już pierwszego dnia. Finał – we wtorek.

LEKKOATLETYKA

Genialna Polka. Nasza dziewczyna najszybsza na świecie na 400 m. Tata może być dumny

Paweł Wiśniewski

Anastazja Kuś mistrzynią świata juniorów w biegu na dystansie 400 metrów. Na słynnym „Hayward Field" w Eugene, stanie Oregon, Polka nie tylko pokonała wszystkie rywalki, ale i ustanowiła kapitalny rekord kraju – 51.06!

FOT. PAP/ADAM WARŻAWA

Anastazja Kuś poprawiła rekord Polski juniorów – należący od 19 lipca 2013 roku (Rieti) do Patrycji Wyciszkiewicz – aż o pół sekundy!

To również najlepszy w tym roku czas w Europie w kategorii U20 i 7. lokata w polskich tabelach historycznych bez podziału na kategorie wiekowe. Dla Polski to jedenasty złoty medal lekkoatletycznych mistrzostw świata U20 w historii.

Podczas 21. edycji lekkoatletycznych mistrzostw świata U20, Anastazja Kuś (ur. 11 maja 2007 roku) – córka znanego przed laty piłkarza (7 występów w reprezentacji Polski) Marcina Kusia zrobiła furorę. Na mecie wyprzedziła wielką faworytkę tego biegu, Amerykankę Ataję Stephanie-Vazquez – 51.36 i Tiannę Springer z Gujany – 51.76.

– Myślałam, że zdobycie medalu będzie taką bezpieczną opcją, natomiast złota zupełnie się nie spodziewałam – wyjaśniała Kuś. – W trakcie biegu cały czas czułam jednak, że jestem na medalowej pozycji. Wiedziałam, że jestem w stanie to wyciągnąć i trzeba walczyć do samego końca. Kiedy wychodziłam na ostatnią prostą, myślałam, że będę druga za Amerykanką. Bardzo chciałam jednak zdobyć ten złoty medal i ostatkami sił udało mi się wyszarpać go na ostatnich metrach. To było niesamowite.

Międzyczasy Polki – 100 m: 12.57 (3. miejsce); 200 m: 24.39 (2. miejsce); 300 m: 37.06 (2. miejsce); 400 m: 51.06 (1. miejsce).

Zaraz po ceremonii medalowej, Anastazja udała się na lotnisko, z którego wybrała się do... Birmingham, gdzie dzisiaj rozpoczną się mistrzostwa Europy seniorów.

– Cel na ten sezon już zrealizowałam, zdobywając złoty medal MŚJ, dlatego teraz mogę podejść do kolejnego startu ze spokojną głową – podsumowała Kuś.

LEKKOATLETYKA

Gwiazdy reprezentacji Polski. Bez ikony tyczki - Piotra Liska

Paweł Wiśniewski

Aż 74 pań i panów znalazło się w reprezentacji Polski na lekkoatletyczne mistrzostwa Europy, które odbędą się w dniach 10-16 sierpnia br. w Birmingham. Oto nasze największe gwiazdy.

Kobiety

- 100 m: Ewa Swoboda (Podlasie Białystok) i Krystina Cimanouska (AZS AWF Warszawa)
- 400 m: Natalia Bukowiecka (Podlasie Białystok)
- 800 m: Anna Wielgosz (CWKS Resovia Rzeszów)
- 1500 m: Klaudia Kazimierska (LKS Vectra Włocławek)
- maraton: Aleksandra Lisowska (AZS UWM Olsztyn)
- 100 m pł.: Pia Skrzyszowska (AZS AWF Warszawa)
- 3000 m z przeszkod.: Alicja Konieczek (OŚ AZS Poznań)
- wzwyż: Maria Żodzik (Podlasie Białystok)
- młot: Anita Włodarczyk (AZS AWF Katowice) i Ewa Różańska (Podlasie Białystok)
- oszczep: Maria Andrejczyk (LUKS Hańcza Suwałki)
- siedmiobój: Adrianna Sułek-Schubert (Brda Bydgoszcz)
- chód na dystansie maratonu: Katarzyna Zdziebło (LKS Stal Mielec)
- 4x400 m: Anastazja Kuś (AZS UWM Olsztyn)

Mężczyźni

- 400 m: Maksymilian Szwed (AZS Łódź)
- 800 m: Bartosz Kitliński (AZS UMCS Lublin) i Maciej Wyderka (AZS AWF Katowice)
- 110 m pł.: Damian Czykier (Podlasie Białystok) i Jakub Szymański (SKLA Sopot)
- wzwyż: Mateusz Kołodziejski (CWZS Zawisza Bydgoszcz SL)
- kula: Konrad Bukowiecki (AZS UWM Olsztyn)
- młot: Paweł Fajdek (OŚ AZS Poznań) i Wojciech Nowicki (Podlasie Białystok)
- oszczep: Marcin Krukowski (Warszawianka)
- 4x400 m: Kajetan Duszyński (AZS Łódź) i Remigiusz Zazula (AZS UMCS Lublin)

eprasa.pl c83acda8be

ŻUŻEL

Nasz mistrz wygrał w Rydze i jest liderem cyklu Grand Prix

Na Łotwie, w finale 8. eliminacji żużlowych mistrzostw świata Bartosz Zmarzlik pokonał Roberta Lamberta, Brady'ego Kurtza i Kacpra Worynę

Zbigniew Czyż

Sześciokrotny mistrz świata Zmarzlik po raz trzeci wygrał turniej w Rydze i dwie rundy przed zakończeniem cyklu GP ma cztery punkty przewagi nad Kurtzem. Warto dodać, że Patryk Dudek zajął piąte miejsce, a Dominik Kubera zrezygnował ze startu z powodu kontuzji odniesionej w meczu ligi duńskiej.

Przed rokiem w stolicy Łotwy triumfował Kurtz, a Zmarzlik zajął czwarte miejsce. Obaj do końca walczyli o tytuł mistrza świata, a lepszy – zaledwie o jeden punkt – okazał się Polak. Także w tym sezonie ta dwójka przewodzi rywalizacji, a z realnymi szansami na medal pozostaje także Lambert. I właśnie ci trzej żużlowcy okazali się najlepsi w Rydze, a stawkę finału uzupełnił Woryna, niespodziewany zwycięzca pierwszego turnieju GP w Landshut.

Zmarzlik i Lambert okazali się najlepsi w rundzie zasadniczej i uzyskali bezpośredni awans do finału. Świetnie spisujący się Kurtz w swoim ostatnim wyścigu niespodziewanie nie zdobył żadnego punktu i o awans do czołowej czwórki musiał rywalizować w biegu ostatniej szansy. Wygrał go, podobnie jak po chwili Woryna, który wyprzedził m.in. Dudka.

FOT. ANETA KOLESIŃSKA

Bartosz Zmarzlik świetnie czuje się w koszulce lidera cyklu Grand Prix

W finale Zmarzlik nie dał rywalom żadnych szans i pewnie wygrał, odnosząc 31. zwycięstwo w turnieju GP w karierze. Po niezłym starcie Kurtz popełnił błąd i został wyprzedzony przez Lamberta, a Woryna nie liczył się w walce o podium.

Do zakończenia sezonu pozostały zawody w duńskim Vojens (12 września) i Toruniu (26 września).

WYNIKI GRAND PRIX ŁOTWY

1. Bartosz Zmarzlik (Polska) - 20 pkt
2. Robert Lambert (W. Brytania) - 18
3. Brady Kurtz (Australia) - 16
4. Kacper Woryna (Polska) - 14
5. Patryk Dudek (Polska) - 12
6. Andrzej Lebiediew (Łotwa) -11
7. Jason Doyle (Australia) - 10
8. Max Fricke (Australia) - 9

Czołówka klasyfikacji po ośmiu turniejach:

1. Bartosz Zmarzlik (Polska) 129 pkt
2. Brady Kurtz (Australia) 125
3. Robert Lambert (W. Brytania) 119
4. Michael Jepsen Jensen (Dania) 88
5. Patryk Dudek (Polska) 81
6. Kacper Woryna (Polska) 78
7. Leon Madsen (Dania) 72
8. Max Fricke (Australia) 71

...

14. Dominik Kubera (Polska) 31

KOLARSTWO

Przedszkole na trasie Tour de France kobiet

Paweł Wiśniewski

Po stracie żółtej koszulki liderki wyścigu Tour de France Femmes avec Zwift 2026, Katarzyna Niewiadoma-Phinney zarzuciła swojej rywalce - Celii Gery celowe blokowanie, aby mogła zwyciężyć koleżanka Francuzki Holenderka Demi Vollering.

- Takie rzeczy to w przedszkolu - mówiła nasza cyklistka.

Przed sobotnim etapem, broniąca barw teamu Canyon-SRAM - Katarzyna Niewiadoma-Phinney miała 15 sekund przewagi nad Demi Vollering z grupy FDJ United-Suez i na przedostatnim etapie kontrolowała tempo Holenderki przez zdecydowaną większość trasy.

Na ostatnim podjeździe, ok. 6,5 km przed metą, Vollering zaatakowała i po chwili zgubiła Polkę oraz Włoszkę Elisę Longo Borghini.

FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

Katarzyna Niewiadoma-Phinney wygrała Tour de France w 2024 r.

Niewiadoma-Phinney zajęła ostatecznie 3. miejsce.

- Byłam zła na początku podjazdu, bo Celii Gery z FDJ United-Suez celowo przyblokowała mnie przy barierkach - żaliła się Polka. - Musiałam przestać pedałować. Moim zdaniem, jeśli one chcą rywalizować, powinny robić to fair, a nie szukać sposobu na przyblokowanie mnie, bo to dziecinne. Szczerze mówiąc, zupełnie straciłam za to do nich szacunek.

Lars Boom - dyrektor sportowy FDJ United-Suez, teamu Gery i Vollering, przyznał na antenie Eurosportu, że nie widział tej sytuacji, ale jest przekonany, że Francuzka nie jest typem człowieka zdolnego do takich nieczystych zachowań.

Natomiast do historii wyścigu Tour de Pologne przejdzie zapewne włoski kolarz - Jonathan Milan z drużyny Lidl-Trek. Otóż w tegorocznej edycji imprezy, „The Italian Stallion" wygrał aż trzy etapy z rzędu.

Warto odnotować, że sobotę przed południem, odbył się w Bukowinie Tatrzańskiej coroczny Tour de Pologne amatorów - Memoriał Ryszarda Szurkowskiego.

Wyścig ukończyło ponad 1900 zawodników, a wśród nich jedyny polski kierowca Formuły 1 - Robert Kubica, który w TdP ścigał się już po raz drugi.

SKOKI NARCIARSKIE

LGP. Kot i Twardosz najlepsi z Polaków. Maciusiak i Tomasiak zostali w kraju

Zbigniew Czyż

Maciej Kot zajął 15. miejsce, najlepsze z Biało-Czerwonych w sobotnim konkursie skoków narciarskich Letniej Grand Prix, które odbyły się we francuskim Courchevel.

Tylko dwóch z pięciu Polaków awansowało do drugiej serii tych zawodów. Kot skoczył 119 m i 123,5 m, otrzymując notę 235,8 pkt. Zniszczoł zdobył 218,2 pkt po skokach na 120 m i 114 m, co ostatecznie dało mu 24. pozycję. Jakub Wolny zajął 38. lokatę, Klemens Joniak - 50., a Kamil Waszek - 60.

Konkurs wygrał Austriak Daniel Tschofenig, który uzyskał 130 m i 129,5 m, co dało mu łącznie 271,8 pkt. Drugi Philipp Raimund skoczył 129 m i 131 m, tracąc do zwycięzcy 1,7 pkt. Strata trzeciego Naoki Nakamury po skokach na 128 m i 124,5 m, wyniosła cztery punkty. Tuż za podium uplasował się Austriak Maximilian Ortner.

Pod wodzą Horngachera

Do Courchevel z polską kadrą udał się Stefan Horngacher, który w maju został zatrudniony w Polskim Związku Narciarskim na stanowisku koordynatora systemu szkolenia. Podpisany przez niego kontrakt jeszcze za prezesury Adama Małysza obowiązuje przez cztery lata, do 2030 roku. Od czerwca szefem PZN jest Apoloniusz Tajner.

We Francji Horngacherowi towarzyszyli Krzysztof Biegun oraz były trener polskich skoczków, a w ostatnim sezonie indywidualny szkoleniowiec Kamila Stocha, Michał Doleżal. Na weekendowe zawody nie pojechał trener kadry Maciej Maciusiak, który pozostał w Polsce na treningach z Dawidem Kubackim, Pawłem Wąskiem, Piotrem Żyłą i Kacprem Tomasiakiem.

Po trzech konkursach liderem klasyfikacji generalnej Letniej Grand Prix jest Naoki Nakamura, który w zeszły weekend dwukrotnie triumfował w Wiśle i ma na swoim koncie 260 pkt. Za nim plasują się Szwajcar Gregor Deschwanden - 136 pkt i Kazach Daniił Wasiljew - 115 pkt. Najlepszy z Polaków jest Kacper Tomasiak, który ma 62 pkt i zajmuje 11. miejsce. Maciej Kot z dorobkiem 44 pkt jest 17.

14. miejsce Twardosz

W sobotnim konkursie kobiet we francuskim Courchevel, najlepsza z Polek, Anna Twardosz zajęła 14. miejsce. Wygrała Norweżka Anna Odine Stroem przed Japonką Yuki Ito oraz swoją rodaczką Ingvild Synnoeve Midtskogen. Reprezentantka Polski skoczyła 116 m i 113,5 m, co dało jej łącznie 178,3 pkt. Stroem uzyskała 129 m i 128,5 m, triumfując notą 141,1 pkt. Druga Ito straciła do zwyciężczyni 14,2 pkt po skokach na 130,5 m i 133 m. Trzecia Midtskogen skoczyła 119 m i 127,5 m, przegrywając ze Stroem o 20,7 pkt.

Po trzech konkursach w klasyfikacji generalnej Letniej Grand Prix prowadzi Słowenka Ema Klinec - 190 pkt. Drugie miejsce zajmuje Ito - 179 pkt, a trzecia jest Słowenka Nika Vodan - 150 pkt. Stroem w zeszły weekend nie startowała w Wiśle i mając 100 pkt zajmuje siódme miejsce. Anna Twardosz z dorobkiem 54 pkt plasuje się na 17. pozycji.

W niedzielę na skoczni Tremplin du Praz (HS 135) odbyły się kolejne konkursy kobiet i mężczyzn. Zakończyły się już po zamknięciu naszego wydania.

FOT. PAP

Maciej Kot (na zdjęciu) był najlepszy z Polaków w Courchevel

eprasa.pl c83acda8be

PIŁKA NOŻNA

Bayer: Ekstraklasa potrzebuje sukcesów w Europie

Jacek Bayer, pierwszy reprezentant Polski w dziejach Jagiellonii Białystok i legenda klubu z Podlasia wierzy, że do fazy ligowej europejskich pucharów w obecnej edycji awansuje kilku przedstawicieli ekstraklasy

Rozmawiał Jaromir Kruk

FOT. WOJCIECH WOJTKIELEWICZ

Jacek Bayer: Jagiellonia zrobiła u siebie dobry początek i jest w stanie wyrzucić Rangersów z Ligi Europy

Jagiellonia czy Glasgow Rangers?

Jagiellonia zrobiła u siebie dobry początek i jest w stanie wyrzucić z Ligi Europy Rangersów. Linia obrony szkockiego zespołu wygląda jak wygląda, na rewanż ktoś ma dojść, ale drużyna Adriana Siemieńca dysponuje atutami pozwalającymi jej rozmontowywanie. Szkoda, że nie udało się w pierwszym starciu wygrać wyżej, ale samo zwycięstwo nad taką dużą marką odbiło się szerokim echem. Dzisiejsza Jagiellonia to zespół bez kompleksów, widać, że pewności siebie dodały jej konfrontacje z Fiorentiną. W Glasgow gospodarze dostaną wsparcie kibiców, będą próbowali stłamsić Jagę stałymi fragmentami – wolnymi, rogami, autami, lecz dadzą też miejsce do kontrataków. A w szybkich wypadach nasz zespół czuje się bardzo dobrze.

Kajetan Szmyt może znów zrobić różnicę?

To kolejne odkrycie Jagiellonii. Bardzo fajnie oglądało się Kajtka, jak radził sobie z piłkarzami Rangersów. On jest przygotowany mentalnie do gry na takim poziomie i w Białymstoku wyręczył Jesusa Imaza, w zasadzie go poprawił, dobijając jego strzał na 2:1. Szacunek dla Jagi, że się podniosła, choć straciła na wstępie gola i to był samobój. Widząc jednak w akcji Norberta Wojtuszka raduje się serce. Sprowadzenie go do Białegostoku to sukces skautów, chłopak dynamicznie się rozwija i nie dość, że dobrze broni, to jest niebezpieczny w ofensywie. Interesują się nim kluby zagraniczne i może przenieść się wkrótce do mocnej ligi. Takie nadzieje robi sobie również, słusznie, Sławek Abramowicz. Broni świetne, a na transfer spokojnie może poczekać i zmienić pracodawcę po tym sezonie, który zaczął imponująco. Udane występy w europejskich pucharach, awans do Ligi Europy pomogłyby poszczególnym piłkarzom w promocji, i całemu klubowi też. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z wagi rewanżu w Glasgow.

Górnik Zabrze jest w stanie odrobić straty z Ferencvarosem?

Widziałem Górnika jak grał w rewanżu z Fenerbahce, postraszył tureckiego giganta i zademonstrował dobry, odważny futbol. W spotkaniu z Radomiakiem trener Gasparik dokonał paru roszad, dał kilku ważnym zawodnikom odpocząć. Moim zdaniem Górnik jest w stanie odrobić straty z Węgier w rewanżu, a kluczem jest zdecydowana poprawa skuteczności. To samo tyczy się też, prócz kwestii mentalnych, Lecha. Poznaniacy z Klaksvik wymęczyli zwycięstwo 1:0, widać, że w głowach siedzi im wpadka z Aarhus. Mam nadzieję, że najgorsze mistrzowie Polski mają już za sobą i przebiją się do Ligi Europy. I nie będą tam jedynym reprezentantem ekstraklasy. Nasza liga się rozwija, ale potrzebuje sukcesów w Europie.

Raków z Hammarby i GKS Katowice z Hapoelem Tel Aviw nie strzeliły goli w pierwszych meczach. Poprawi się to w rewanżach?

Raków to, póki co, wielka niewiadoma. Po odejściu Jonathana Brunesa i innych ważnych piłkarzy trzeba przebudowywać skład. Na razie nieźle gra Patryk Makuch i – skoro nie zdobył gola w Częstochowie – jest w stanie tego dokonać w Szwecji. Hammarby to rywal w zasięgu Rakowa, trudniej będzie mieć GKS Katowice. Na Węgrzech z Hapoelem zespół Rafała Góraka popełniał błędy przy wyprowadzaniu piłki, stracił kuriozalne bramki, jakościowo ustępował przeciwnikowi z Izraela. Dużo by się musiało zmienić w drugim spotkaniu, cóż – jak to w piłce nadziei nie można porzucać, poprzeczka jest jednak zawieszona bardzo wysoko. Nie podoba mi się przekładanie meczów pucharowiczów, jak Zbigniew Boniek uważam, że powinni grać w ekstraklasie w wyznaczonych wcześniej terminach. Ciągłe przesuwanie, odwoływanie zaburza płynność rozgrywek, które są naprawdę bardzo ciekawe.

Nie występując w Europie, Legia ma większe szanse na tytuł mistrza Polski?

Legia dobrze wystartowała, ale w Kielcach miała dużo szczęścia. Oglądając na żywo Koronę w Białymstoku, zauważyłem, że ma ciekawy skład i bardzo silną linię pomocy z bardzo ruchliwym Patrikiem Hellebrandem. Czech się rozkręca i daje zespołowi Jacka Zielińskiego dużo jakości. Słyszałem, co mówił Jacek po remisie z Legią. Odczuwał niedosyt. Koronie należał się rzut karny, ale w piłce nożnej bywa tak, że raz los coś zabierze, raz da, a dobra gra się obroni. Korona podąża w dobrym kierunku, w Kielcach nie ukrywa się pucharowych aspiracji, a że takich klubów jest więcej – to dobrze dla całej ekstraklasy. Kiedyś, gdy grałem, nawet nie myślałem, że mecze na najwyższym poziomie w Polsce będą się odbywać na tak pięknych obiektach, przy takiej widowni, i tak wspaniały będzie przekaz w telewizji. Nasze czasy też miały swój urok, ale dziś piłkarzom niczego nie brakuje. PKO Ekstraklasa jest cudownie opakowana, a najlepszą promocją dla niej będą w tym sezonie występy klubów w Lidze Europy. Lechowi nie udało się osiągnąć Ligi Mistrzów, ale Liga Europy dwóch, trzech polskich klubów to byłoby coś! Bo udział w Lidze Konferencji to już wręcz nasz obowiązek...

LIGI ZAGRANICZNE

Lewandowski już strzela. Kiedy sezon rozpoczną pozostali nasi piłkarze?

Jakub Jabłoński

Powoli zbliża się nowy sezon w najsilniejszychx ligach, a wraz z nim mecze z udziałem reprezentantów Polski. Lewandowski wyjątkowo rozpoczął grę wcześniej niż pozostali, ponieważ tego lata przeniósł się za wielką wodę.

Najwcześniej weszli polscy piłkarze grający za oceanem, na czele ze świeżo przetransferowanym Lewandowskim. Były napastnik FC Barcelony od końcówki czerwca broni barw Chicago Fire. Kapitan reprezentacji Polski został ogłoszony niemal po cichu, bez szaleństwa, gdy najsilniejsze reprezentacje globu walczyły na MŚ.

Lewandowski zdążył rozegrać cztery mecze. Zadebiutował przeciwko Interowi Miami, w którego składzie zabrakło odpoczywającego po finale mundialu Leo Messiego. Napastnik, który 21 sierpnia skończy już 38 lat, nie wpisał się na listę strzelców, a na pierwsze gole musiał poczekać do swojego trzeciego występu. Po drodze zaliczył bezbarwny występ przeciwko New York City, a dopiero dubletem okrasił swój występ z Charlotte FC.

Tyle samo goli co Lewandowski w ostatnim czasie w MLS strzelił inny reprezentant Polski - Mateusz Bogusz. Pomocnik występujący w Houston Dynamo dwukrotnie pokonał bramkarza Austin FC.

W sobotę sezon rozpoczęli Polacy występujący w 2. Bundeslidze. Po jednym trafieniu mają już Mateusz Żukowski z Magdeburga oraz David Kopacz z VfL Osnabrück. Pierwszy trafił honorowo w meczu z Eintrachtem Brunszwik, a drugi z dystansu zaskoczył spadkowicza z Bundesligi Heidenheim. W obu przypadkach musieli zadowolić się jedynie trafieniami, bo ich drużyny przegrały.

Do nowej kampanii gotowe jest już polskie trio z FC Porto - Jakub Kiwior, Jan Bednarek i Oskar Pietuszewski - które sięgnęło już po Superpuchar Portugalii, a wczoraj zaczęło walkę w lidze. Ponadto - rywalizować z nimi będzie nowy piłkarz Benfiki Jakub Kamiński.

Z Półwyspu Apenińskiego napłynęły wreszcie bardzo dobre informacje - Arkadiusz Milik nie został skreślony przez Juventus. Mało tego, Polak jest przymierzany nawet do występów w podstawowym składzie.

Kiedy startują najsilniejsze europejskie ligi?

Liga Portugal - 7 sierpnia
La Liga - 15 sierpnia
Premier League - 21 sierpnia
Ligue 1 - 21 sierpnia
Serie A - 22 sierpnia
Bundesliga - 28 sierpnia

eprasa.pl c83acda8be

PKO EKSTRAKLASA

Legia wyhamowała, za to Górnik jest w wielkiej formie

Weekend pełen wrażeń dostarczyła nam PKO Ekstraklasa za sprawą 3. kolejki, która została okrojona o dwa przełożone spotkania

Jacek Czaplewski

FOT. OLHA ILKEVYCH

W Radomiu Górnik pokazał, że można udanie łączyć ligę z pucharami

Pierwsze punkty zgubiła liderująca dotąd Legia Warszawa i to akurat w dniu 52. urodzin swojego trenera Marka Papszuna. Jak łączyć ligę z występami w europejskich pucharach pokazał natomiast Górnik Zabrze. Jeśli w czwartek w rewanżu eliminacji Ligi Europy z Ferencvarosem zagra tak samo jak w Radomiu – to o odwrócenie losów i tym samym awans do kolejnej fazy kibice KSG powinni być spokojni.

Zakończona już seria gier (w poniedziałek nie ma meczu) wystartowała nietypowo, bo w piątek od wieczornego spotkania o godzinie 20:30. Na wypełnionych po brzegi trybunach stadionu przy Reymonta zagrały imienniczki: Wisła Kraków, czyli drużyna beniaminka i Wisła Płock, która w zeszłym roku pełniła tę rolę, zaskakując nas wtedy regularnym punktowaniem. Teraz po rewolucji kadrowej chce dołożyć bardziej efektowną grę.

Momenty faktycznie w tym ciekawym meczu były. Wynik został ustalony przed przerwą. Biała Gwiazda zgarnęła całą pulę. Czwartego gola strzelił dla niej w tym sezonie Jordi Sanchez. Swojego pierwszego w PKO Ekstraklasie ma też król strzelców Betclic 1 Ligi, Angel Rodado, którego sprzymierzeńcem okazał się rykoszet. Jego drużyna bez wątpienia jeszcze namiesza.

Ponownie mocną jedenastkę stworzył Górnik. U trenera Michala Gasparika w wygranym meczu z Radomiakiem błysnęli nowi gracze. Zachwycił Peter Gonzalez nazywany przez szatnię „Piotrusiem". To on zdobył dwie bramki z gry przedzielone trafieniem – również debiutanckim – Kacpra Urbańskiego z rzutu karnego. Reprezentant Dominikany dał już świetne zmiany z Fenerbahce i Ferencvarosem, ale konkrety przyszły w lidze. Absolwent akademii Realu Madryt ma papiery na wielkie granie. Wicemistrzowie Polski znaleźli go na zapleczu La Ligi.

Lepsze czasy nastały w Pogoni Szczecin. Trener Oscar Garcia wspierany pierwszy raz z trybun przez rodziców, żonę i córkę znalazł sposób na Motor Lublin. Debiutancką bramkę zdobył Darko Churlinov, którego klub wygrał w ostatniej chwili bój z Widzewem. Rywale z Lubelszczyzny tuż przed doliczonym czasem złapali kontakt, lecz błyskawicznie, bo po sekundach mecz zamknęli zmiennicy: podał Kamil Grosicki, trafił Kellyn Acosta. Portowcy z sześcioma punktami po trzech występach zanotowali lepszy start niż rok temu – wtedy na tym samym etapie mieli bowiem cztery oczka.

Wyhamowała Legia. Stołeczna drużyna nie wygrała 7. raz z rzędu za kadencji Marka Papszuna i zarazem trzeci w tym sezonie. Dlaczego? Bo spuściła z tonu po przerwie. Wtedy pozwoliła Koronie złapać wiatr w żagle, czego efektem okazała się wyrównująca bramka Mariusza Stępińskiego – gracza, który dubletem załatwił ją na początku roku przy Ł3.

Sobotni mecz obfitował w kontrowersje. Sędzia Jarosław Przybył nie zdecydował się na podyktowanie jedenastki dla Korony przy stanie 0:1, chociaż Robert Deziel Jr. faktycznie został trafiony w rękę. Po ostatnim gwizdku trener Jacek Zieliński ruszył z pretensjami do arbitra... Korona po ugraniu pierwszego punktu ma prawo odczuwać niedosyt. W Legii jest podobnie. Wkrótce ogłoszony zostanie w niej transfer napastnika Jana Kuchty ze Sparty Pragra. To on ma grać zamiast krytykowanego Milety Rajovicia, który w Kielcach zaczął jako rezerwowy.

3. KOLEJKA EKSTRAKLASY

WISŁA KRAKÓW - WISŁA PŁOCK 2:1
Bramki: Rodado 14, Sanchez 36 - Hamulić 28

RADOMIAK RADOM - GÓRNIK ZABRZE 1:3
Bramki: Wolski 67 - Peter Federico 28, 64, Urbański 45+4

POGOŃ SZCZECIN - MOTOR LUBLIN 3:1
Bramki: Churlinov 17, Szalai 43, Acosta 90 - Aiko 90

KORONA KIELCE - LEGIA WARSZAWA 1:1
Bramki: Stępiński 70 - Zjawiński 28

ŚLĄSK WROCŁAW - CRACOVIA 0:0

GKS KATOWICE - WIECZYSTA KRAKÓW PRZEŁOŻONY

RAKÓW CZĘSTOCHOWA - ZAGŁĘBIE LUBIN PRZEŁOŻONY

TABELA PKO BP EKSTRAKLASY

1. Legia Warszawa	3	7	5-2
2. Górnik Zabrze	2	6	5-2
3. Pogoń Szczecin	3	6	5-2
4. Jagiellonia Białystok	2	6	3-1
5. Wisła Kraków	3	6	7-6
6. Lech Poznań	2	4	2-1
7. Śląsk Wrocław	3	4	3-3
8. Wisła Płock	3	4	3-3
9. GKS Katowice	2	3	4-3
10. Zagłębie Lubin	2	3	3-3
11. Piast Gliwice	2	3	4-5
12. Radomiak Radom	3	3	4-7
13. Widzew Łódź	2	2	2-2
14. Cracovia	3	2	0-2
15. Korona Kielce	2	1	1-2
16. Motor Lublin	3	1	4-7
17. Raków Częstochowa	2	0	2-4
18. Wieczysta Kraków	2	0	2-4

Program 4. kolejki
Piątek, 14.08
Legia Warszawa - Radomiak Radom (godz. 20.30)
Sobota, 15.08
Zagłębie Lubin - Śląsk Wrocław (godz. 14.45)
Piast Gliwice - Wieczysta Kraków (godz. 17.30)
Widzew Łódź - Korona Kielce (godz. 20.15)
Niedziela, 16.08
Motor Lublin - GKS Katowice (godz. 14.45)
Cracovia - Raków Częstochowa (godz. 17.30)
Górnik Zabrze - Wisła Kraków (godz. 20.15)
Wisła Płock - Lech Poznań (godz. 20.15)
Jagiellonia Białystok - Pogoń Szczecin przełożony

JEDENASTKA KOLEJKI

NAJLEPSI STRZELCY

4 gole
Jordi Sanchez (Wisła Kraków)

2 gole
Marko Bozić (Wisła Kraków)
Peter Federico Gonzales (Górnik Zabrze)
Nik Prelec (Jagiellonia Białystok)
Łukasz Zjawiński (Legia Warszawa)

BOHATER WEEKENDU

Peter Federico Gonzales (Górnik Zabrze)
Niesamowite wejście do zespołu wicemistrzów Polski notuje ten wychowanek Realu Madryt reprezentujący Dominikanę. Po udanych zmianach w meczach w europejskich pucharach pojawił się w wyjściowej jedenastce w wyjazdowym spotkaniu z Radomiakiem Radom. Gonzalez dobył dwie zwycięskie bramki, bezlitośnie wykorzystując wpadki obrońcy gospodarzy Adriana Diegueza. W szatni, po drugim z rzędu zwycięstwie w lidze w tym sezonie, koledzy długo fetowali wyczyn swojego nowego bohatera w drużynie.

FOT. PAP

ECHA SPOD SZATNI

Papszun: Jesteśmy niepocieszeni. Zieliński: Karny był ewidentny...

Bartosz Głąb

Legia Warszawa wciąż pozostaje niepokonana od kwietnia, a w 2026 roku poniosła tylko 2 porażki. Trener Marek Papszun po sobotnim remisie w Kielcach z Koroną podkreślił jednak, że nie jest zadowolony z wyniku.

Rezultat mógłby być jeszcze gorszy, gdyby sędzia podyktował rzut karny dla Złocisto-Krwistych, który nie tylko fanom wydawał się ewidentny.

Legia w nowym sezonie PKO Ekstraklasy po 3 kolejkach ma na swoim koncie dwa zwycięstwa oraz remis. W sobotę stołeczna drużyna po emocjonującym meczu wywiozła punkt ze starcia z mającą duże apetyty Koroną.

– Jesteśmy niepocieszeni wynikiem, bo prowadziliśmy i powinniśmy dowieźć zwycięstwo. Nie zrobiliśmy tego i wracamy z jednym punktem. Gdy wyjazd zaczyna się od strzelenia bramki, będąc już dojrzałym zespołem, trzeba taki mecz wygrać. Pierwsza połowa była pod naszą kontrolą. Korona miała jedną sytuację, my strzeliliśmy i wydawało się, że to mecz do zapomnienia – mało okazji, niewiele się działo. W drugiej połowie tej kontroli już nie mieliśmy, za mocno oddaliśmy inicjatywę, Korona doprowadziła do remisu. Cóż, taki jest futbol: wracamy z jednym punktem i szykujemy się do kolejnych spotkań – powiedział na pomeczowej konferencji prasowej Papszun.

Korona doprowadziła do wyrównania w 70. minucie. Złocisto-Krwiści mogli jednak wyrównać pod koniec pierwszej połowy, kiedy to po uderzeniu Morgana Fassbendera piłka trafiła w rękę Roberta Deziela Jr., będącego we własnym polu karnym. Prowadzący to spotkanie Jarosław Przybył nie zdecydował się jednak wskazać na „wapno".

– Sytuacja była dość dynamiczna. Zawodnik Korony oddał strzał. Odległość między nim a obrońcą była bliska. Piłka trafiła w naturalnie ułożoną rękę. W mojej ocenie nie poszerzała obrysu ciała. Wstrzymałem grę, bo piłka wyszła na rzut rożny. VAR potwierdził mi, że sytuacja została sprawdzona, zweryfikowana i karnego nie ma – wytłumaczył 50-letni arbiter w rozmowie z reporterem Canal+ Sport.

Wynik nie satysfakcjonuje żadnej ze stron. Trener Jacek Zieliński po meczu także nie miał wątpliwości: – Bardziej ewidentnego karnego ja już dawno nie widziałem – grzmiał.

Nie ma się co dziwić rozgoryczeniu szkoleniowca, gdyż jego drużyna w tym sezonie zdobyła tylko punkt, a potencjał ma spory. A oczekiwania są jeszcze większe...

eprasa.pl c83acda8be

S24 **sportowy24.pl**

sport

PIŁKA NOŻNA

Górnik Zabrze w świetnej formie przed pucharami. Legia i Wisła tracą punkty
str. 23

KOLARSTWO

FOT. SZYMON GRUCHALSKI

Kontrowersje wokół Katarzyny Niewiadomej. Polka w Tour de France musiała się bić o „pudło”
str. 21

LEKKOATLETYKA

Dziś początek mistrzostw Europy. W składzie Biało-Czerwonych jest Anastazja Kuś, złota medalistka juniorskich MŚ
str. 20

W finale zawodów na Łotwie nasz reprezentant pokonał Brytyjczyka Roberta Lamberta, Australijczyka Brady’ego Kurtza i Kacpra Worynę

FOT. NUR PHOTO/EAST NEWS

Bartosz Zmarzlik wygrał w Rydze ósmą eliminację żużlowych mistrzostw świata. Obrońca tytułu samodzielnie prowadzi w cyklu Grand Prix *str. 21*

eprasa.pl c83acda8be